

# Gazeta Sremska

9/10/2022

ISSN 1232-7476

dwumiesięcznik

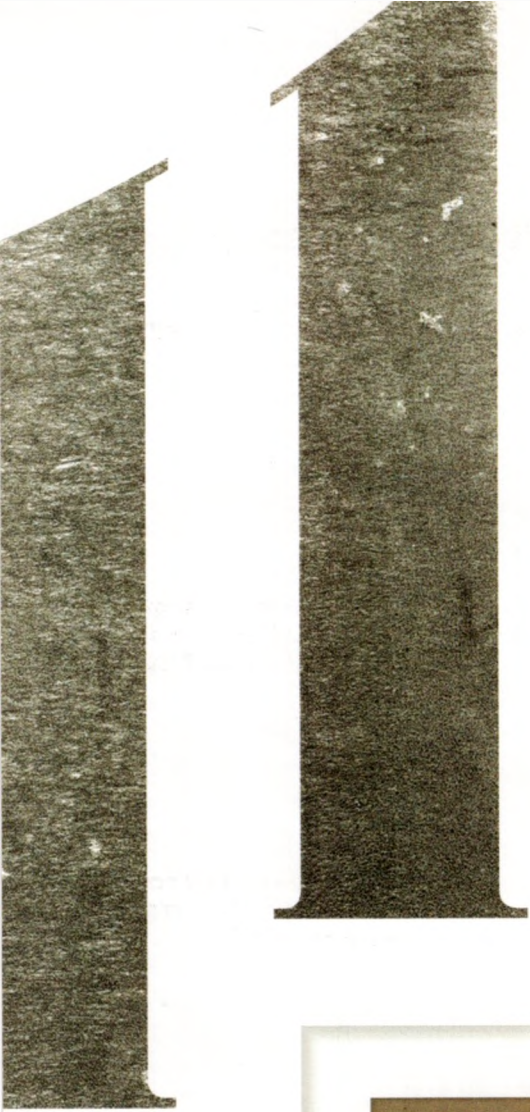
wrzesień/październik

XXXIII

cena 5 zł







09

2022

g.16<sup>00</sup>

WYSTAWA 11.09-10.10.2022

PATRYCJA ŁUKOMSKA

*typografia*



Ń

MUZEUM ŚREMSKIE





## Józef Wybicki na studiach w Lejdzie

Adam Podsiadły opisuje mniej znany okres życia Józefa Wybickiego – studia na uniwersytecie lejdejskim.

str. 02



## Paula Wężyk (1876-1963). Poetka, która pokochała Śrem

Danuta Płygawko opowiada o pracy nad przygotowaniem książki o Pauli Wężyk, która ukaże się jesienią tego roku, w serii „Śrem w małych monografiach” wydawanych przez Bibliotekę Publiczną Miasta i Gminy im. Heliodora Święcickiego.

str. 20



## Kolonialki

Kolejny felieton z cyklu „Sentymenty”, które publikowane były przez Marcelego Szczęsnego na łamach „Głosu Śremskiego” w latach 1985-1992. Tym razem autor wspomina śremskie kolonialki.

str. 27

## Spis treści

|         |                                                                      |
|---------|----------------------------------------------------------------------|
| str. 02 | Józef Wybicki na studiach w Lejdzie                                  |
| str. 10 | Dzieje komunikacji miejskiej w Śre-<br>mie. Część 2                  |
| str. 17 | Leon Kruczyński – urzędnik miejski,<br>patriota i działacz społeczny |
| str. 20 | Śremska biografia poetki Pauli Wężyk<br>(1876–1963)                  |
| str. 23 | Wspomnienia mierzone kilometrami<br>Warty. Część 2                   |
| str. 27 | Sentymenty: Kolonialki                                               |
| str. 29 | Jestem, więc pytam: Pogoda                                           |
| str. 32 | Kwestionariusz kultury: Danuta Dziuba                                |
| str. 34 | Opowiadanie Marty Tok: Tajemnica<br>angielskiego domu                |
| str. 37 | Warto przypomnieć: Barbara Orlowski<br>– poetka i malarka            |
| str. 39 | Na oparach: Towarzysze i obywatele                                   |

|         |                                                                           |
|---------|---------------------------------------------------------------------------|
| str. 42 | LeŻAKowanie: Jak komiksy za-<br>władnęły kinem                            |
| str. 44 | Z górnej półki: Fania, córka rzeź-<br>nika. Izraelski western (spaghetti) |
| str. 46 | Brazylijska zima nas zaskoczyła... Część 1                                |
| str. 49 | Autoportrety mistrzów pędzla,<br>kredki, ołówka. Część 5                  |
| str. 52 | Tam i z powrotem, czyli polsko-<br>włoskie historie z winem w tle         |
| str. 54 | Okiem belfra... Trudny start                                              |
| str. 55 | Letnie spotkania ze sztuką w Mu-<br>zeum Śremskim                         |
| str. 56 | Wieści z ratusza                                                          |
| str. 58 | Muzeum - wydarzenia                                                       |
| str. 60 | ŚOK - wydarzenia                                                          |
| str. 62 | Biblioteka - wydarzenia                                                   |



Adam PODSIADŁY

## Józef Wybicki na studiach w Lejdzie

Zakres i poziom edukacji, którą przeszedł Józef Rufin Wybicki w dzieciństwie i latach dorastania były dla niego samego daleko niewystarczające, odległe od ambicji zdobycia znacznie szerszych horyzontów myślowych. W wieku sześciu lat oddany został pod opiekę stryja, księdza Franciszka do Skoraszew, gdzie jeden z wikariuszy był jego pierwszym nauczycielem. Z tego okresu Wybicki nie zachował najlepszych wspomnień, niemniej przez dwa lata nauczył się czytać, pisać i zdobył podstawy znajomości łaciny. Następnie uczył się w kolegium jezuickim w Starych Szkotach niedaleko Gdańska, gdzie dominowała scholastyka. Odrzucano nowe metody dydaktyczne już obecne w szkołach pijarskich. Zwalczano nowe prądy filozofii europejskiej (np. kartezjanizm). Nie było mowy o nauce filologii, przyrody czy geografii. Wybicki zarzucał jezuitom, że w kolegium nie uczono myśleć, stosowano surowe kary cielesne. Po latach krytycznie opisał sposoby nauczania przez jezuitów: „[...] Kazano nam się uczyć łaciny i to bez korzyści. Nie kazano myśleć ani czynić. [...] Zgoła co dzień bito: zawsze słyszałem jęki, prośby uczniów i twardość nauczycieli były zwykłym obrazem szkoły. To było prawdziwe piekło [...]. W dwunastym roku życia skończył klasę poezji i otrzymał promocję z retoryki. Kolegium w Starych Szkotach opuścił Wybicki w 1763 r. ze świadomością, że „[...] z takim w młodości postępkiem co by tu można umieć, gdyby się było czego prawdziwego uczyć [...]”.

Obraz szkolnictwa w Polsce w połowie XVIII wieku przedstawiony przez Wybickiego nie był niezgodny z prawdą i odosobniony. Do znacznych zmian w organizacji systemu nauczania, programach, nowatorskich metodach dydaktycznych, doprowadziły dopiero reformy Komisji

Edukacji Narodowej, w której pracach Wybicki uczestniczył.

Wielu członków bliższej i dalszej rodziny J. Wybickiego należało do prawniczej palestry, czyli zawodu sądowego. Ojciec Piotr Wybicki był sędzią ziemskim, podobnie jak brat matki Józefa, wuj Michał Linski, dziedzic dóbr Brodnicy. Wspomniany stryj, proboszcz Franciszek zachowując tę rodzinną tradycję umieścił piętnastoletniego Józefa w kancelarii grodzkiej w Skarszewach i polecił uczyć go podstaw prawa tamtejszemu zawiadowcy kancelarii.

Uważano wówczas kancelarię jako szkołę, przez którą przejść musiała młodzież przeznaczona szlacheckim urodzeniem do agend rządowych i wszelkich urzędów publicznych w kraju. W ten sposób Wybicki na tyle pozyskał doświadczenia i wiadomości praktycznych, że już w siedemnastym roku życia mógł stawać w sądzie grodzkim, rozstrzygającym w sprawach cywilnych. Później znalazł miejsce przy Trybunale Poznańskim. Nadto obserwował posiedzenia Trybunałów Koronnych, wynosząc dalszą znajomość prawa, zasad jego stosowania i sądowych procedur.

W gruncie rzeczy został prawnikiem-samoukiem, ale utalentowanym i pracowitym. Potwierdza ten fakt sam młody jurysta, gdy tak pisał na ten temat: „[...] co się tyczy nabycia wiadomości (w dziedzinie prawa – ape.), te równie przypadkowi, albo wrodzonej skłonności młodego należeć się mogły tylko; sama szkoła dać ich nie mogła, bo żadnych prawideł ani organizacji nie miała [...]”, i dodawał w innym miejscu „[...] żadnego wyobrażenia nam nauk i szkół wyższych nie dawano”. Taki był los oświecenia publicznego.

Praca w sądownictwie i obywatelska aktywność dały Wybickiemu mandat poselski w wyborach





Józef Wybicki (w okresie konfederacji barskiej).  
Autor nieznany (ze zbiorów Muzeum Józefa Wybickiego w Będominie)





Jeden z najstarszych budynków uniwersyteckich w Lejcie (XVIII w.)

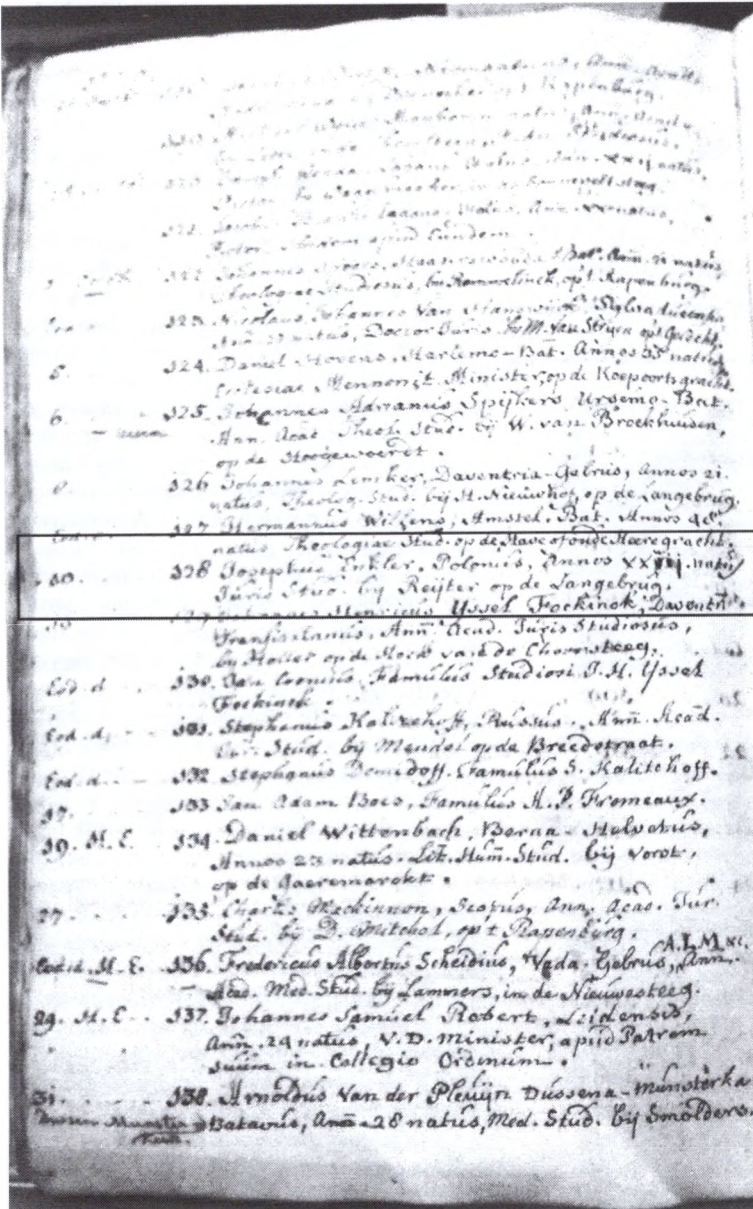
do sejmu warszawskiego z powiatu mirachowskiego na ziemi pomorskiej. Dwudziestoletni poseł na posiedzeniu sejmu w 1767 r. zaprotestował przeciw ograniczeniu wolności politycznej mówiąc: „nie widzę wolnego sejmu, ale widzę tylko gwałt i przemoc moskiewską, przeciwko tej więc protestuję”, czym zwrócił na siebie nieprzychylną uwagę carskiego ambasadora Mikołaja Repnina. Ostro krytykował też króla Stanisława Augusta za jego spolegliwość polityczną względem Rosji. W 1786 r. czynnie zaangażował się w działalność zawiązanej w Barze na Podolu zbrojnej konfederacji. Jej uczestnicy występując przeciw królowi postawili sobie za cel obronę zagrożonej niepodległości i sprzeciwiali się ingerencji Rosji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej. Wybicki pod znakiem konfederatów barskich mianowany pułkownikiem pełnił funkcję konsyliarza generalnego i członka rady wykonawczej zwanej Generalnością. Z jej polecenia miał za zadanie nakłonić dwory europejskie

do wsparcia konfederatów. W tym celu konspiracyjnie posłował do Paryża, Berlina, Wiednia. Prowadził agitację w Prusach Królewskich i w Wielkopolsce. Jednak jego misje nie przyniosły pożądanego rezultatu.

Upadek konfederacji wymusił i przyspieszył decyzję Wybickiego o wyjeździe z kraju na emigrację. Zanim to nastąpiło w obawie przed aresztowaniem przez carską policję ukrywał się jakiś czas w Gdańsku pod ochroną opata Józefa Rybińskiego (1701-1782), w klasztorze cystersów w Oliwie. Za jego poradą Wybicki wyjechał do Niderlandów z zamiarem podjęcia studiów na uniwersytecie lejdejskim. Nie wydaje się, aby decyzja udania się do Kraju Nizin była związana z jakąś misją polityczną, bowiem w *Życiu moim* Wybicki wyraźnie stwierdza, że chciał się odsunąć od polityki.

Do obranego celu wyruszył z Gdańska na duńskim żaglowcu Lopper (Ścigacz) przez Łubekę, Hamburg i Groningen. Po rozmaitych perturbacjach





Księga studentów uniwersytetu w Lejdzie z zaznaczonym miejscem wpisu Josephus Enkler Polonus – 10 X 1770 r. i informacją, że zamieszkał u kupca Reijtera na ul. Langebrug 10 w Lejdzie (archiwum Uniwersytecie w Lejdzie – kopia w zbiorach autora)

cjach wywołanych chorobą morską dotarł do Amsterdamu na początku jesieni 1770 r., a stamtąd kanałami przybył do Lejdy. Od tej chwili roz-

począł się nowy rozdział w życiu Wybickiego. Znalazł się w nieznanym mu dotychczas, zupełnie nowym otoczeniu.

Republika Zjednoczonych Prowincji Niderlandów czerpała jeszcze z owoców dorobku Złotego Wieku (*Aurea Aetas*), który przeżywała w siedemnastym stuleciu. Zjednoczone Prowincje opierały swoje dochody i rozwój gospodarczy na rozbudowanej flocie handlowej i rybackiej, towarach sprowadzanych z dominiów zamorskich w Indiach Wschodnich. Duże dochody przynosił przemysł manufakturowy (sukienniczy i bawełniany). Finansową ostoją kraju były bogate banki. Działająca w Amsterdamie giełda miała znaczenie nie tylko dla ustalania cen w obrębie kraju, ale w całym ówczesnym świecie. W praktyce sprawnie działał ustrój demokratyczny. Sprawdzal się system przedstawicielski oparty na radach miejskich i Stanach Generalnych. Bujnym rozkwitem szczyliły się sztuki piękne: malarstwo, rzeźbiarstwo, rzemiosło, ceramika artystyczna, złotnictwo i architektura budynków publicznych, i siedzib prywatnych wznoszonych przez zamożnych patrycjuszy. Liczne drukarnie i księgarnie wpływały ożywczo na rozwój litera-

tury. Z amsterdamskich i lejdejskich oficyn wydawniczych rozchodziły się w świat nowe pisma i rozprawy naukowe. Wielką intelektualną rolę,



# INSTITUTIONS POLITIQUES.

PAR MONSIEUR

LE BARON DE BIELFELD.

TOME PREMIER.

Ni Fallor.



A LA HATE,

Chez PIERRE GOSSE Junior, Libraire de  
S. A. S. Monseigneur le Prince STADHOUDER.

M. DCC. LX.

Avec Privilège de nos Seigneurs les Etats de Hollande & de Westfrieze.

Strona tytułowa 1 tomu dzieła J. F. Bielfelda, *Institutions Politiques*, które tłumaczył na j. polski student J. Wybicki

znaczenie filologiczne, teologiczne, kulturowe i społeczne odegrało nowe tłumaczenie Biblii z języka hebrajskiego, aramejskiego i greki oraz z wielu dialektów zgodnie z wykładnią teologii reformowanej, i z licznych dialektów na ponadregionalny, standardowy język niderlandzki. W 1619 r. wprowadzono pierwszy w świecie obowiązek szkolny. Około roku 1650 w Holandii państwową szkołę elementarną miała prawie każda wieś, a chłopskie dzieci – zarówno chłopcy, jak i dziewczynki – mogły liczyć na kilkuletnią bezpłatną naukę. W miastach działały prywatne szkoły wyznaniowe, przeznaczone dla ka-

tolików i luteranów, żydowskie chedery i jesziwy oraz szkoły francuskie (głównie dla dziewcząt) i łacińskie (będące odpowiednikiem dzisiejszych liceów). Dzięki temu pod koniec XVIII w. piśmienność Holendrów obejmowała ok. 68 % kobiet oraz 84% mężczyzn w całym społeczeństwie Republiki, zarówno w miastach, jak i na wsiach. Dla porównania, szacuje się, że w tym samym czasie, czyli w poł. XVIII w., u progu rozbiórki w Rzeczypospolitej litery znało zaledwie 10% jej mieszkańców. Edukację na poziomie akademickim zapewniało sześć uniwersytetów, niektóre jak w Lejdzie, o sławie ogółośnoeuropejskiej. Wyższe uczelnie łączyły wiedzę humanistyczną z rozwijającymi się szybko naukami przyrodniczymi i technicznymi. W procesie naukowego poznania studia na fakultetach oparte były na metodzie indukcyjnej i eksperymentalnej. Uczono wiązania teorii z praktyką (np. w stosowaniu skutecznych systemów inżynierskich melioracji gruntów i osuszania polderów w kraju położonym w depresji wodnej na terenach zalewowych). Protestantka Holandia z przewagą wyznawców kalwinizmu pozostawała w XVIII w. potęgą finansową, wydawniczą i prasową o międzynarodowym zasięgu, azytem dla wszelkiego rodzaju nieprawomyślnych religijnie i politycznie ludzi oraz wiodącym ośrodkiem akademickim i naukowym. Holenderski Złoty Wiek łączy się z nazwiskami wybitnych uczonych zagranicznych, którzy znaleźli spokojną przystań w Republice i tu tworzyli i publikowali swoje prace. Najwybitniejsi wśród nich to m.in.: twórca nowożytnej pedagogiki Czech Jan Amos Komeński, francuski filozof i matematyk Rene Descartes (Kartezjusz), angielski filozof Jan Locke. Całą plejadą zaznaczyli swój naukowy dorobek holenderscy uczeni. Dość wymienić tu tylko profesorów, wykładowców i uczonych z Lejdy: Gerharda Johannesa Vossiusa (1584-1648), historyka i teologa ewangelicko-reformowanego, Hugo Grotiusa (1583-1645), prawnika i filozofa, „ojca” prawa międzynarodowego, Hermana Boerhaw'e



(1596-1667), wybitnego lekarza i anatoma zwanego „holenderskim Hipokratesem”, Jakuba Go-liusa (1596-1667), matematyka, astronoma i orientalistę, Caspara Barlaeusa (1584-1648), logika i polihistora, Pietera van Musschenbroeka (1692-1761), odkrywcę pierwszego kondensatora (*butelki lejdejskie*). W dziejach Holandii zapisał swój dwukrotny pobyt (incognito) car Piotr I Wielki, który u tamtejszych szkutników uczył się sztuki budowy okrętów.

Lejda położona w Holandii Południowej prawa miejskie uzyskała w 1266 r. W XVII w. stała się popularna w Polsce dzięki działalności najważniejszego uniwersytetu protestanckiego Europy, który przyciągał tysiące studentów z różnych krajów. Większość polskich rodów magnackich, jak Lubomirscy, Sobiescy, Opalińscy, Leszczyńscy, tam kierowało swoich synów po wiedzę z architektury wojskowej, matematyki, fizyki, geografii (nauki o Ziemi), miernictwa, budownictwa, medycyny, naukę języków obcych. Sztukę nawigacji studiował w Lejdzie m.in. Krzysztof Arciszewski pochodzący ze Śmigła. W Lejdzie doktorat z medycyny uzyskał Jan Jonston (1603-1675), związany z Leszmem przyrodnik i filozof, autor prac z historii naturalnej. Nauki z dziedziny inżynierii wojskowej pobierał Maciej Głoskowski (ok. 1590-ok. 1658), matematyk, kartograf i poeta, nauczyciel w gimnazjum leszczyńskim. Jako stypendysta Jednoty Braci Czeskich wyjechał (1622 r.) studiować w Lejdzie, filolog i poeta Jan Rybiński (1595-1638). Był on później rektorem gimnazjum w Lesznie i seniorem braci czeskich. Rektorem tej samej szkoły był Andrzej Węgierski (1600-1649), historyk i tłumacz. Urodzony w Lesznie (1630 r.) w spolszczonej rodzinie ewangelików czeskich Jan Kołaczek (Placentinus), studiował w Lejdzie matematykę i filozofię. Leszczyński drukarz i geograf Daniel Vetter (1592-1669) przebywał w Niderlandach 11 lat, w tym kilka semestrów spędził na uniwersytecie lejdejskim.

O powstaniu w Lejdzie uniwersytetu w 1575 r. zdecydował namiestnik Wilhelm I Orański w uznaniu dla dzielnej postawy władz miasta i mieszczan w walkach z Hiszpanami i Habsburgami w tzw. wojnie osiemdziesięcioletniej. Życzeniem fundatora było, aby nowa uczelnia była „ostoją wolności”. W tym duchu do dziś dewizę

uniwersytetu stanowią słowa – „Libertatis Praesidium” („Bastion Wolności”). Jego pierwsza siedziba mieściła się w dawnym kościele białych siostr dominikanek.

Uczelnia posiadała od zarania bogatą bibliotekę, zbiory z zakresu mineralogii i starożytności, własną drukarnię, zbudowano obserwatorium astronomiczne, urządzono pracownię anatomiczną. Zatrudniała całą plejadę wybitnych wykładowców, specjalistów z wielu dyscyplin naukowych. W XVII w. w Lejdzie mieszkało ok. dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi w tym jedenaście tysięcy studentów (!).

Wybicki był zaskoczony faktem, że nie musiał przedstawić specjalnych rekomendacji, by zostać słuchaczem uniwersytetu w Lejdzie. Bez formalnych przeszkód został 10 X 1770 r. wpisany do metryki studentów wydziału prawa, za trzeciego z kolei rektora Adriana van Royen, pod przybranym nazwiskiem Józef Enkler. „Josephus Enkler Polonus” – tej treści łaciński zapis widnieje w metryce pod pozycją 328.

Przyczynę zatajenia prawdziwego nazwiska tak Wybicki wyjaśniał: „szedłem z tym za radą przyjaciół z Gdańska, którzy rozumiejąc, iż przez gazety może imię moje było znane, a zaczęm lepiej być pod cudzym imieniem radzono. Było mi jednak dogodne względem ekspensy, bo w Holandii, jak wszędzie za granicą, Polak z imieniem na *ski* jest grafem i z tej opinii taksują go oberżyci i rzemieślnicy. Przyznałem się jednak, kto byłem profesorowi Pestelowi”. Nie wyznał tego sekretu polskim kolegom studentom, którzy prawdopodobnie i tak się domyślali kim ów Enkler jest w istocie. Tak postąpił zapewne i z obawy o możliwą inwigilację przez agentów tajnych służb rosyjskich.

Przez cały czas studiów mieszkał też jako Józef Enkler na stacji u lejdejskiego kupca Reijtera w domu przy ulicy Langebrug 10 (Długi most). Ten adres potwierdza notatka w księdze meldunkowej z informacją, że lokator liczy sobie 23 lata. Z tego miejsca na uniwersytet miał nie więcej niż 20 minut pieszej wędrowki.

Studia w Lejdzie były bezpłatne, jednak Wybicki żył oszczędnie i ostrożnie gospodarował niewielkim kapitałem, który na pobyt za granicą otrzymał od matki. Na uniwersytecie spotkał rodaków m.in. Davida Cassiusa (Kasjusza) i Jana Teofila Elsnera. Gdy Wybicki zaczynał studia





Dom przy ul. Langebrug 10 w Lejdzie, w którym na stancji mieszkał przez rok Józef Wybicki

oni zaliczyli już, jak potwierdzał na piśmie rektor Adrian von Royen regulaminowe kolokwia z logiki i retoryki greckiej. Później po studiach obaj działali w Wielkopolsce. Cassius (Kasjusz – 1746-1828) – w 1777 r. osiedlił się w Lesznie i objął pastorat przy kościele reformowanym św. Jana Chrzciciela. Rok później został prorektorem (w l. 1800-1823 rektorem) i wykładowcą gimnazjum leszczyńskiego. Pełnił także funkcję konseniora leszczyńskiej gminy ewangelicko-reformowanej. Elsner (1717-1782) w młodości kształcił się w Lesznie. Po ukończeniu gimnazjum studiował teologię w Berlinie, Frankfurt nad Odrą i Lejdzie. Po powrocie do Leszna został adiunktem niemieckiej gminy braci czeskich i nauczycielem gimnazjum, którego był absolwentem. Tłumaczył i wydawał dzieła religijne, m.in. pisma Jana Amosa Komeńskiego.

Wybicki kształcił się w Lejdzie pod kierunkiem wybitnych naukowców tamtych czasów. Uczestniczył w wykładach prowadzonych w języku łacińskim, w którym dobrze sobie radził. Skupiał się na głównej dziedzinie swoich studiów tj. pra-

wie, ale z nie mniejszym zainteresowaniem także filozofii, geografii i historii politycznej Europy. Ten drugi kurs prowadził profesor Pestel, który dodatkowo, od czasu do czasu i za darmo udzielał Wybickiemu prywatnych lekcji poświęconych analizie i dyskusji nad dziełem Monteskiusza *O duchu praw*. Friedrich Wilhelm Pestel (1724-1805) był w Lejdzie profesorem, doktorem prawa publicznego. Trzykrotnie pełnił godność rektorską. Był autorem cenionych prac naukowych z dziedziny prawa i etyki. Słuchał wykładów profesora Davida Hieronima Gaubiusa (1705-1780), niemieckiego lekarza medycyny, chemika i botanika, autora podręcznika patologii. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z fizyką eksperymentalną, którą poznał za pośrednictwem wykładów i doświadczeń demonstrowanych przez Jana Mikołaja Allamanda (1713-1787), który na lejdejskiej akademii utworzył Gabinet Historii Naturalnej. Wiele nowych wiadomości uzyskał na kolokwiah z geografii i historii powszechnej. Nęciły go wszystkie nauki „[...]” prócz teologii, bo ta nie



była mojej wiary”. Zgłębiał naukowe problemy studiów w uniwersyteckiej bibliotece i czytał skrypty. Z ambicji posiadania własnego księgozbioru, kupował książki, uszczuplając przez to środki na codzienne utrzymanie. Niestety nic nie wiemy o jego pozauniwersyteckim życiu. Co robił w wolnym czasie, czy zwiedzał miasto i jego okolice, jak się gospodarzył itp. Na wspomnieniowych stronach nie skreślił na ten temat żadnych wiadomości.

Poprawił na tyle znajomość języka francuskiego, że mógł czytać wydawane w tym języku wpływowe pismo „Gazette de Leiden”. Z inspiracji profesora F.A. Pestela zabrał się do przetłumaczenia z oryginału francuskiego na język polski trzatomowego dzieła Bielefelda pt. *Les Institutions politiques (Istytucje polityczne)*. Pisarz polityczny i ekonomista Jakob Friedrich baron Bielefeld (1717-1770) pochodził z Hamburga, studiował w Lejdzie (od 1723 r.). Był doradcą króla Prus Fryderyka Wielkiego. O zainteresowaniu w Europie *Institutions politiques* świadczy fakt, że od pierwszego wydania w j. francuskim (1760 r.), dzieło Bielefelda miało do 1823 r. osiem obcych przekładów, także tłumaczenie rosyjskie.

J.F. Bielefeld rozwinął oświeceniowe myśli o państwie i funkcjonowaniu jego instytucji. Wyszczególnił cnoty i obowiązki władców, które ustanawiają „niezbędną mądrość i zasady dobrego rządzenia”. Wskazał przedstawicieli zawodów i grup społecznych, które powinny uczestniczyć w procesie legislacyjnym. Podkreślał zasadę, że te z nich, na które wpływa akt prawny muszą mieć zagwarantowany udział w radzie ustanawiającej te przepisy. Dużo miejsca poświęcił zagadnieniu upadku państwa. Uważał niestabilność instytucji państwowych za kluczowy wpływ na jego kryzysy i załamania. Dowodził, że najpotężniejsze imperia z przeszłości podlegały prawu zmiany i niestałości. Pod adresem mężów stanu postulował, aby badali historię upadków społeczeństw i państw, ich pośrednich, bezpośrednich, wewnętrznych i zewnętrznych przyczyn i skutków. Pod wrażeniem lektury tego dzieła, Wybicki przyznał, że:

„[...] było to wszystko wówczas dla mnie rzeczą zupełnie nową: zasady i rozumowania nad naturami praw politycznych krajowych, nad przedmiotami ekonomii politycznej, powszechnymi

prawidłami dyplomacji. Stwierdzał, że nauka o polityce i prawach narodów [...] tyle dla mego stanu potrzebna zajęła mnie całkiem”.

W Lejdzie przetłumaczył większość z trzech tomów *Institutions* i rękopis posłał opatowi Rybińskiemu do Gdańska. Niestety manuskrypt zaginął.

Odkrywczy charakter dzieła wpłynął na nową perspektywę podejścia Wybickiego do kwestii wolności oraz zagadnień państwowo-ustrojowych. Wzmógł jego przekonanie o wprowadzeniu reform politycznych w Polsce jego epoki, które to idee wyłożył następnie w trzech częściach *Myśli politycznych o wolności cywilnej*.

Drugi obowiązkowy wpis J. Wybickiego w metrykę studentów w Lejdzie nosi datę 26 II 1771 r. i był ważny do końca tegoż roku. Jednak dalszych adnotacji przedłużających status studenta – formalnie Józefa Enklera nie znalazłem podczas kwerendy w Archiwum Uniwersytetu w Lejdzie. Niderlandy i Lejdę żegnał niechętnie po wyczerpaniu środków finansowych na dalszy pobyt oraz ponaglany ze strony konfederackiej Generalności, której kierownictwo wzywało go do powrotu do Polski. Miał bowiem po stawieniu się w kraju wyjechać razem z Wawrzyńcem Potockim z misją dyplomatyczną do Hiszpanii. Zanim Wybicki wrócił z Holandii, Potocki poległ w bitwie 25 VI 1771 r., o czym dowiedział się już w Polsce.

Niewątpliwie studia Wybickiego w międzynarodowym, intelektualno-naukowym środowisku akademickiej Lejdy, nowe idee, które tam poznał, bezpośrednia styczność z plejadą naukowych znakomitości, z ludźmi innych wyznań, wpłynęły na jego „oświeceniowy” światopogląd. Poprzez studia literatury naukowej nabył historycznej erudycji. Ponad roczny pobyt w Niderlandach był dla formacji intelektualnej Wybickiego bardzo ważny. W kontekście pobytu w Lejdzie nie udało się jednoznacznie wyjaśnić pytania: na ile zdobyte tam doświadczenia odcisnęły się na „obyczajowym” libertynizmie Józefa Wybickiego i czy faktycznie w Niderlandach przystąpił do masonerii?

Zapewne pod wpływem wrażeń i z trwałego sentymentu dla miesięcy z pożytkiem spędzonych w Niderlandach, Wybicki napisał (nie ukończony rękopis datowany na 1786 r.) operę *Pasterka zbłąkana czyli obraz wojny holenderskiej*.



Remigiusz GROCHOWIAK

# Dzieje komunikacji miejskiej w Śremie

## Część 2

### W STRUKTURACH MPK KÓRNIK (LATA 1992-2004)

Zmiany gospodarczo-polityczne przełomu 1989 i 1990 roku przyniosły wraz z sobą wielką inflację, która odbijała się coraz mocniej na kosztach funkcjonowania komunikacji miejskiej. Nie były w stanie ich zrekompensować wzrastające stale ceny biletów, których nominały w 1992 roku sięgały już tysięcy złotych<sup>1</sup>. Rozpad gospodarki centralnej sprawił, że kwestie lokalnego transportu zostały przekazane w całości do samorządów. Szukając oszczędności w budżecie, wiele gmin rozpiśało wówczas pierwsze przetargi na obsługę komunikacji miejskiej, dopuszczając do nich wszystkie zainteresowane przedsiębiorstwa. Podobną decyzję w kwietniu 1992 roku podjęły władze Śremu, wycofując się z dofinansowania dla PKS Poznań. Pierwszy przetarg na obsługę komunikacji miejskiej, ogłoszony przez Urząd Miasta i Gminy w 1992 roku, wygrało Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne (MPK) w Kórniku<sup>2</sup>.

|      | normalny | ulgowy | miesięczny |
|------|----------|--------|------------|
| 1967 | 2 zł     | 2 zł   | 25 zł      |
| 1968 | 2 zł     | 2 zł   | 25 zł      |
| 1972 | 2 zł     | 2 zł   | 25 zł      |
| 1979 | 3 zł     | 2 zł   | 25 zł      |
| 1980 | 3 zł     | 2 zł   | 25 zł      |
| 1987 | 16 zł    | 8 zł   |            |
| 1988 | 30 zł    | 15 zł  | 810 zł     |
| 1990 | 420 zł   | 210 zł | 20 160 zł  |
| 1992 | 1800 zł  | 900 zł |            |

Ceny biletów komunikacji miejskiej w Śremie w latach 1967-1992. Opracowanie własne autora

Zaznaczyć tu należy, że przewoźnik był już wówczas obecny na ulicach Śremu. 1 września 1991 roku uruchomił on bowiem komercyjną linię 9 z placu Niepodległości w Kórniku przez Bnin, Czmoń, Zbrudzewo do Śremu<sup>3</sup>. Autobus kursował trzy razy dziennie. W dni powszednie na terenie miasta dwa kursy obsługiwały szpital oraz Jeziorany, jeden zaś odlewnię. W dni wolne wszystkie kursy kończyły jazdę przy szpitalu. W dni powszednie jeden kurs wydłużany był z Kórnika bezpośrednio do Poznania. Linia została zlikwidowana około 1994 roku.

1 czerwca 1992 roku MPK Kórnik przejęło obsługę 13 linii miejskich, których trasy uporządkowano<sup>4</sup>. Przystanek przy ulicy Piłsudskiego stał się odtąd najważniejszym w mieście, z którego rozpoczynały trasy wszystkie linie dzienne. Ilość linii wkrótce zmniejszono do 11, jednocześnie wprowadzając numerację tras.

### LINIA 9 Kórnik - Śrem - Kursuje w dni robocze

5.00pRo, 6.10, 13.45.

Śrem - Kórnik

5.45, 6.45, 14.45pRo.

pRo - przez Radzewo - Orkowo

W dni świąteczne

Kórnik - Śrem - Szpital - Kórnik

wyj. przy. wyj. przy.

13.30, 14.00, 16.10, 16.45.

### CENY BILETÓW

1. Linia nr 2, 5, 9.

|          | normalne | ulgowo |
|----------|----------|--------|
| do 10 km | 1.600    | 800    |
| do 20 km | 2.800    | 1.400  |
| do 30 km | 4.400    | 2.200  |
| do 40 km | 5.800    | 2.900  |

Rozkład jazdy i ceny biletów kórnickiej linii 9 do Śremu, zamieszczony w gazecie „Kórnicanin” 10/1991



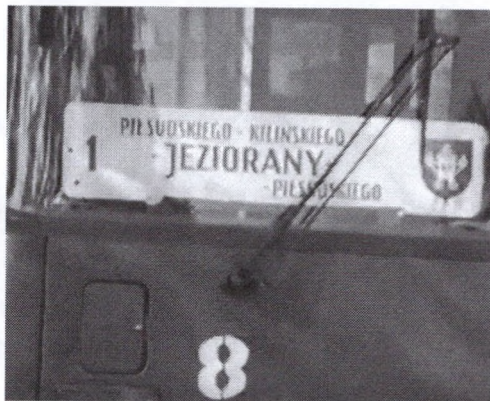
| Nr linii | Trasa                                                                                                                                                                                                                                                     |
|----------|-----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| 1        | (okrężna): Piłsudskiego – Kilińskiego – Chłapowskiego – Staszica – Mickiewicza – Piłsudskiego                                                                                                                                                             |
| 1A       | (okrężna): Piłsudskiego – Kilińskiego – Wojska Polskiego – Zamenhofs – Grunwaldzka – Kilińskiego – Chłapowskiego – Staszica – Mickiewicza – Piłsudskiego<br>(kursowała w dni robocze w godz. 8-16)                                                        |
| 2        | (okrężna): Piłsudskiego – Mickiewicza – Staszica – Chłapowskiego – Kilińskiego – Piłsudskiego                                                                                                                                                             |
| 3        | (okrężna): Piłsudskiego – Mickiewicza – Gostyńska – Grzymisław – Borgowo – Pyszcz – Sosnowiec – Rolna – Gostyńska – Mickiewicza – Piłsudskiego<br>(kursowała w dni robocze)                                                                               |
| 4        | (okrężna): Piłsudskiego – Mickiewicza – Gostyńska – Grzymisław – Borgowo – Pyszcz – Sosnowiec – Rolna – Gostyńska – Mickiewicza – Piłsudskiego<br>(kursowała w dni robocze)                                                                               |
| 5        | Piłsudskiego – Kilińskiego – Wojska Polskiego – Zamenhofs – 1 Maja – Chłapowskiego – Kilińskiego – Grunwaldzka szpital – Chełmońskiego – Helenki cmentarz<br>(kursowała w dni robocze)                                                                    |
| 6        | Piłsudskiego – Kilińskiego – Sikorskiego – Chełmońskiego – Szpital<br>(kursowała w dni robocze)                                                                                                                                                           |
| 7        | Piłsudskiego – Mickiewicza – Gostyńska – Staszica – Chłapowskiego – Kilińskiego – Sikorskiego – Chełmońskiego – Szpital – Malczewskiego – Helenki cmentarz                                                                                                |
| 8        | Piłsudskiego – Kilińskiego – Nochowo – Nochowo osiedle                                                                                                                                                                                                    |
| 9        | Piłsudskiego – Mickiewicza – Gostyńska – Staszica – Chłapowskiego – Kilińskiego – Sikorskiego – Chełmońskiego – Szpital – Sikorskiego – Platanowa – Topolowa – Psarskie DPS                                                                               |
| 10       | Piłsudskiego – Mickiewicza – Gostyńska – Staszica – Chłapowskiego – Kilińskiego – Sikorskiego – Chełmońskiego – Szpital – Sikorskiego – Platanowa – Topolowa – Psarskie – Topolowa – Góra<br>(w 1996r. i w 2000r. trasa była wydłużana z Góry do Jaskowa) |

Układ linii komunikacji miejskiej w Śremie w 1993 roku. Wybrane kursy linii 1 i 2 były wydłużane do przystanku końcowego przy ul. Farnej

Do obsługi połączeń MPK Kórnik oddelegował do Śremu 6 dwuosioowych Ikarusów 260.04, dla których pierwszą prowizoryczną zajezdnię urządzono na terenie firmy Agro-Serwis. Tabor uzupełnił również techniczny Ikarus 260 (nr rej. PZN 8248), który pełnił funkcję holownika i ruchomego zaplecza technicznego. Do obsługi pojazdów zatrudniano początkowo 13 kierowców i 2 mechaników<sup>5</sup>. W 1993 roku zmniejszono ilość linii miejskich do 11, a autobusy zaczęły parkować przy ulicy Cmentarnej w firmie Sport-BUD. W dni robocze do obsługi linii wysyłanych było 5 autobusów, w soboty, niedziele i święta 3 pojazdy. W 1993 roku śremskie autobusy przejechały 195 tys. wozokilometrów i przewiozły 550 tys. pasażerów<sup>6</sup>.

W 1994 roku flotę autobusów miejskich uzupełnił przejściowo nowy Autosan H9-35 nr 26. W 1995 roku zajezdnia w Śremie po raz trzeci zmieniła swoją lokalizację przenosząc się na ulicę Staszica, na plac dawnego Dromostu. Większe naprawy były dokonywane w Kórniku

w zajezdni przy ul. Reja, a od 15 września 2003 roku, po przeniesieniu siedziby spółki do Czołowa, na terenie tamtejszej zajezdni. Nowością były całkowicie nowe bilety, wzorowane na kórnickich, jednak z wyraźnym zaznaczeniem, że



Tablica kierunkowa z numerem linii w Ikarusie 260 nr 8. Kadr z filmu Tv Relax.



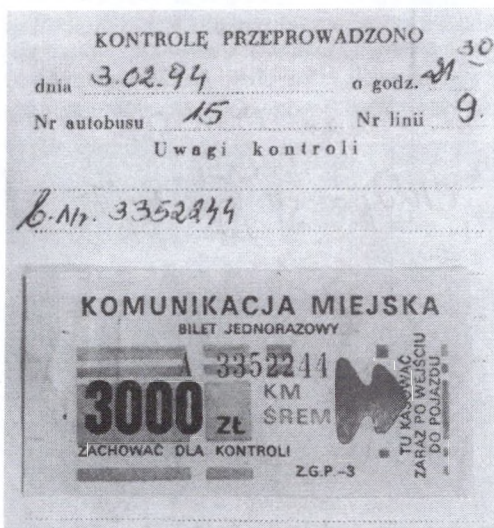


Jeden z najdłużej eksploatowanych Ikarusów 260 nr 15 jako linia 7 w drodze na Helenki, fot. Tomasz Flaga, 18.08.1999 r.

obowiązują na sieci komunikacji miejskiej w Śremie. Od 1992 roku można je było już kasować w autobusach w elektronicznych kasownikach. Wraz z wprowadzeniem kas fiskalnych, bilety komunikacji miejskiej zaczęły być sprzedawane również przez kierowców. Mimo, że na biletach figurował jedynie adres kórnickiej za-

jezdni (nie było wzmianki o Śremie), można je było łatwo wyróżnić na podstawie informacji o rodzaju. O ile bowiem na biletach sprzedawanych na liniach kórnickich podawany był numer strefy obowiązywania, o tyle na biletach w Śremie istniała jedynie informacja „miejska”, „podmiejska” lub w ogóle nie było informacji o strefie.

W ciągu następnych lat zasadniczy układ linii pozostawał niezmienny. Składał się on z 11 linii o łącznej długości 131,5 km, pokrywających swoim zasięgiem 33,1 km tras<sup>7</sup>. Do ciekawostek tego okresu zaliczyć można uruchomienie 3 sierpnia 2000 roku linii 0 na trasie: Piłsudskiego – Mickiewicza – Działyńskiego – PKS – Zamenhofa – 1 Maja – Chłapowskiego II (tzw. milionówki). Linia została uruchomiona testowo przez ówczesnego dyrektora MPK, Hieronima Urbaniaka. Kursował na niej mikrobus Autosan H7-20, sprowadzony w owym okresie na testy, mogący zabrać 32 pasażerów, z czego 16 na miejscach siedzących. Autobus kursował co godzinę od 8 do 18. Linia nie spotkała się jednak z zainteresowaniem ze strony mieszkańców. Ówczesny kierowca MPK, Marek Sadzikowski stwierdził, że „ogólnie mało osób korzysta z tej linii. Trochę więcej jeździ z miasta, a mniej z Jezioran”<sup>8</sup>. Sprawilo to, że wraz z zakończeniem



Mandat karny wraz z biletem jednorazowym z 1994 r.  
Z archiwum Marka Sadzikowskiego

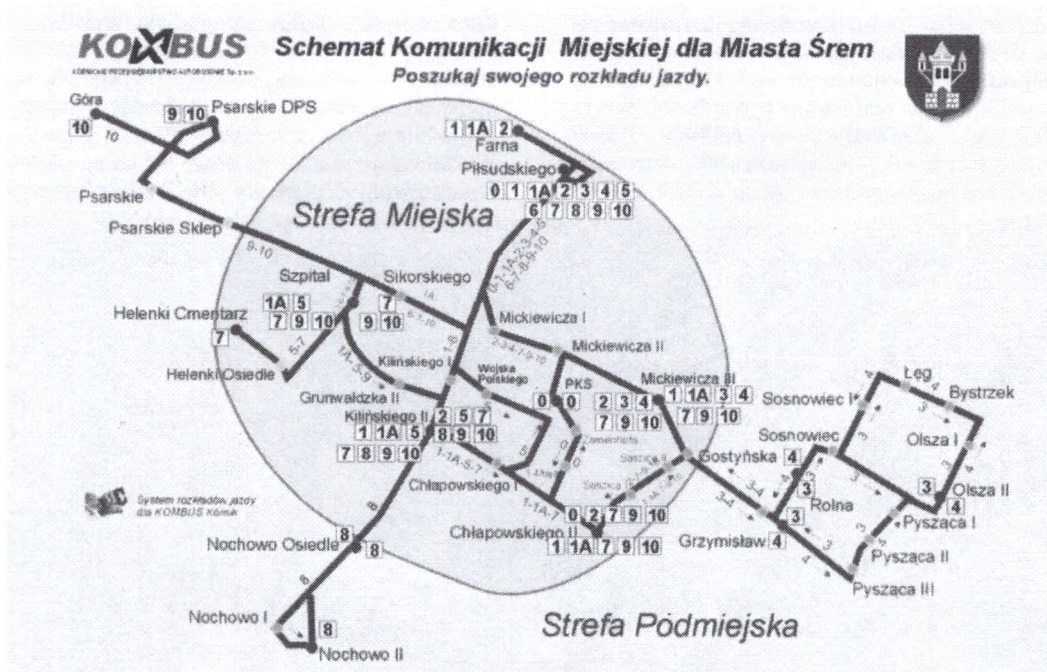




Ikarus 260 nr 15 na przystanku końcowym przy ul. Piłsudskiego, fot. Tomasz Flaga, 18.08.1998

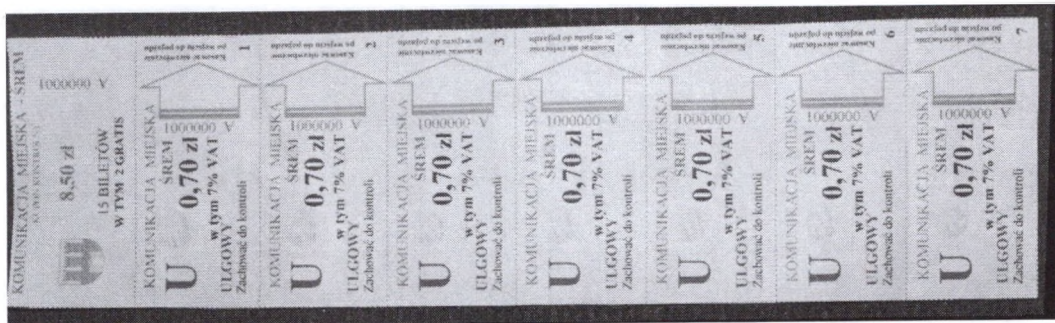
testów mikrobusu, 11 sierpnia 2000 roku linię zlikwidowano. Podobny los spotkał linię 6, której ostatni kurs o godz. 6:35 z Piłsudskiego zlikwidowano 17 maja 2000 roku.

Zmieniał się natomiast tabor je eksploatujący. Czerwone Ikarusy 260.04 były systematycznie wycofywane z ulic i zastępowane Jelczami M11 w malowaniu kórnickiego przewoźnika. W 1995



Układ linii komunikacyjnych w Śremie z okresu jej obsługi przez KOMBUS, sierpień 2000 r., fot. z archiwum Macieja Sobczyka





Karnety wieloprzejazdowe wprowadzone w roku 2000. Oferta zakładała konieczność zapłaty za trzynaście biletów, dwa kolejne były gratis, fot. z archiwum Marka Sadzikowskiego.



Bilety autobusowe z pierwszej dekady XXI wieku

roku wycofano m.in. Ikarusa nr 11, wprowadzając w jego miejsce Jelcza M11 na 16. Rok później zdjęto z inwentarza również Ikarusy nr 8 i 9, a w 2000 roku Ikarusa nr 7. Najdłużej, bo do 2001 roku, eksploatowany był czerwony Ikarus nr 15. W ich miejsce w 2000 roku kursowały kórnickie Jelcze modelu M11 nr 4, 11 i 16 oraz L11 nr 19 i 20.

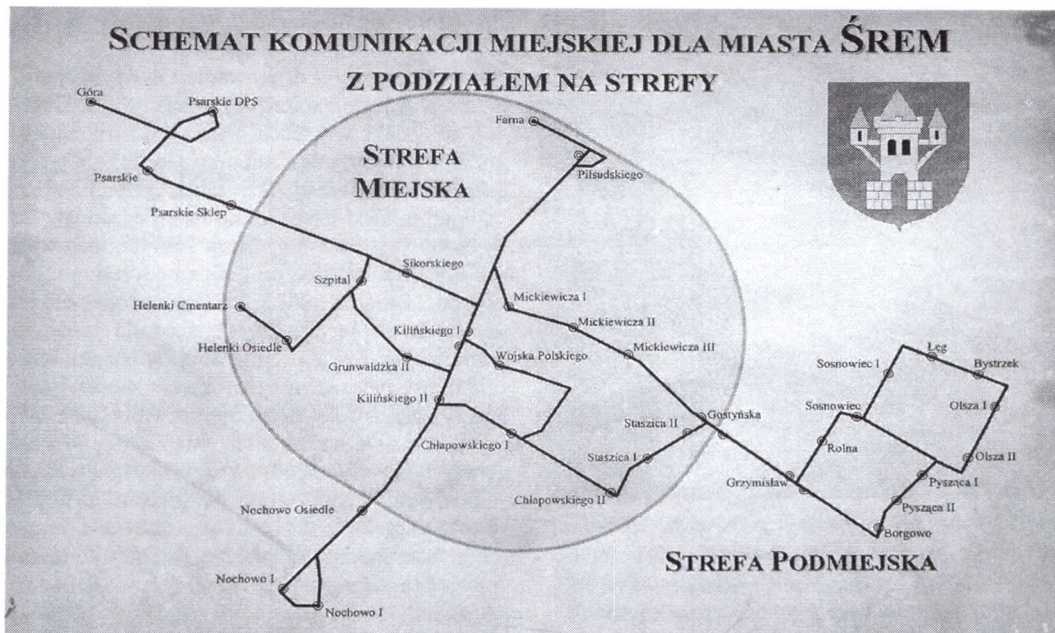
W 2000 roku po raz kolejny podniesione zostały ceny biletów. Od 31 maja 2000 roku za bilet normalny w I strefie obejmującej miasto Śrem należało zapłacić 1,30 zł, natomiast za bilet normalny w strefie II podmiejskiej 1,50 zł. Bilet ulgowy dla I i II strefy kosztował 0,70 zł<sup>9</sup>. Ceny te zostały podniesione od 22 lutego 2002 roku do odpowiednio 1,50 zł (strefa miejska), 2,00 zł (strefa podmiejska) i 0,90 zł (ulgowy w obu strefach). Cennik został uzupełniony o nowe ulgi w taryfie w 2004 roku, zaś 30 marca 2005 roku Rada Miejska w Śremie podjęła dodatkową uchwałę w sprawie sposobu ustalania wysokości opłat dodatkowych za jazdę bez ważnego biletu, której wysokość ustalono na 30-krotność najtańszego biletu jednorazowego<sup>10</sup>.

W 2003 roku do eksploatacji w Śremie został wprowadzony pierwszy średniopodłogowy, dwudrzwiowy autobus miejski MAN SL 202 nr



Jelcz M11 w obsłudze linii 2 na przystanku początkowym, ul. Piłsudskiego, fot. Tomasz Flaga, 18.08.1999





Układ linii komunikacyjnych w okresie, kiedy przewoźnikiem była firma PWHD, rok 2005, fot. z arch. Macieja Sobczyka

39, mogący zabrać 38 pasażerów na miejscach siedzących<sup>11</sup>. W owym okresie tabor miejski uzupełniało jeszcze pięć Jelczy modeli M11/L11 (nr 4,11,16,19,20). 31 marca 2004 roku przewoźnik z Kórnika, który w 2000 roku zmienił nazwę na KOMBUS Sp. z o.o., zaprzestał świadczenia usług przewozowych na terenie miasta i gminy Śrem. Tabor autobusowy powrócił do

Kórniku, gdzie znalazło również zatrudnienie większość załogi pracującej w Śremie. Dzień później na trasy wyjechały autobusy nowego operatora.

#### EPIZOD PWHD (LATA 2004-2007)

1 kwietnia 2004 roku zadania w zakresie zbiorowej komunikacji publicznej przejęło Przedsię-



Autobusy PWHD Jelcz L120 na przystanku przy ul. Piłsudskiego. Fot. Maciej Sobczyk, 20.07.2005





Jelcz PR-110M jako linia 8 w drodze do Nochowa, fot. Maciej Sobczyk, 20.07.2005

biorstwo Wielobranżowe Henryk Dyrda (PWHD) ze Słotwiny. Układ tras oraz ceny biletów pozostały bez zmian<sup>12</sup>. Znacznie zmienił się eksploatowany tabor i jego kolorystyka. PWHD oddelegowało bowiem do Śremu 6 Jelczy modeli PR110M, M11 i L120, wyprodukowanych w latach 1991 i 1997. Autobusy pomalowane były na jednolity niebieski kolor z szarym fartuchem, a na przedniej ścianie w miejscu kasety na wyświetlacz umieszczono dużą naklejkę „Komunikacja Miejska w Śremie”. Prowizoryczną



Autobus Jelcz PR-110 M opuszczający Plac 20 Października., fot. Maciej Sobczyk, 20.07.2005

zajezdnię zlokalizowano przy pętli na ulicy Farnej.

PWHD ograniczył drukowanie i dystrybucję biletów w formie papierowej, koncentrując się na ich sprzedaży w kasach fiskalnych zamontowanych w autobusach. Zmienił również wygląd tabliczki rozkładowej, a z tablic kierunkowych zniknął miejski herb. Mimo uwag co do jakości wykonywanych usług, firma PWHD operowała na liniach miejskich do końca podpisanej umowy do 31 marca 2007 roku, ograniczając się jedynie do drobnych korekt rozkładu jazdy na istniejących liniach. Nowością było ograniczanie oferty przewozowej w okresie wakacyjnym. Utrzymane zostały, uruchomione wcześniej, kursy dodatkowe na cmentarz komunalny w dniu Wszystkich Świętych. Wraz z wygaśnięciem umowy autobusy powróciły częściowo na Dolny Śląsk, częściowo zaś zostały skierowane do obsługi komunikacji w gminie Duszniki koło Tarnowa Podgórnego.

## PRZYPISY

- <sup>1</sup> Na jednym z zachowanych zdjęć zachowała się informacja o cenach biletów w 1992 r. na poziomie 3.400 zł i 1.600 zł.
- <sup>2</sup> Jan Wojcieszak, red. *Dzieje miejskiej komunikacji autobusowej w Kórniku*, Kórnik 2005, s.9. MPK w Kórniku powstało 1 maja 1991 roku na bazie uchwały nr 1V/28/91 Rady Miasta i Gminy Kórnik o utworzeniu gminnego zakładu przewozów osobowych, działającego na zasadach jednostki budżetowej. Przedsiębiorstwo powstało z wyniku podziału przez Wojewodę ówczesnej spółki MPK Poznań.
- <sup>3</sup> Numer linii 9 pochodził z numeracji MPK Kórnik, obsługującej wówczas 8 linii w okolicach Kórnika
- <sup>4</sup> W wykazie linii nie uwzględniono dwóch zamkniętych linii szkolnych z Psarskich i Nochowa do SP I
- <sup>5</sup> Liczba pracowników jest niejasna, gdyż zachowane dokumenty przewoźnika są tutaj sprzeczne. Część materiałów wskazuje bowiem na liczbę 10 kierowców i 4 pracowników obsługi. Podobnie różna jest wielkość miesięcznych przewozów, wahająca się od 16 do 22 tys. wozokilometrów
- <sup>6</sup> Jan Wojcieszak, red. *Dzieje miejskiej komunikacji autobusowej w Kórniku*, Kórnik 2005, s.9.
- <sup>7</sup> *Analiza opłacalności obsługi sieci komunikacyjnej na terenie miasta i gminy Śrem oraz przewozów umownych*, Kórnik 1995, s.2.
- <sup>8</sup> Paweł Fischer: Zerówka w MPK, w: „Tygodnik Śremski” nr 33 (321), 1998 r.
- <sup>9</sup> Cennik biletów KM Śrem, ze zbiorów Marka Sadzikowskiego.
- <sup>10</sup> Por. m.in. w następujących dokumentach Rady Miejskiej w Śremie: uchwała nr 192/XXIV/04 z dnia 28 maja 2004r., uchwała nr 1225/XXXI/04 z dnia 29 października 2004r. i uchwała nr 264/XXXVI/05 z dnia 30 marca 2005r.
- <sup>11</sup> Informacje KOMBUS oraz phototrans.pl.
- <sup>12</sup> Urząd Miejski w Śremie, *Raport o stanie gminy Śrem 2002-2006*, Śrem 2006, s. 39



Sebastian IGNASIAK

## Leon Kruczyński – urzędnik miejski, patriota i działacz społeczny

Historia każdego miasta jest pełna opowieści o wielu ciekawych ludziach, którzy w nim mieszkali i pracowali. Obecnie są to osoby kompletnie zapomniane lub pamiętane przez nielicznych. Niektóre nazwiska pojawiają się na kartach lokalnych publikacji. Szczęściarze doczekali się opracowania ich biogramów w miejscowych i (lub) regionalnych słownikach (czasami ogólnych encyklopediach), a także osobnych biografii. Wielkie zasługi w upamiętnieniu obywateli Śremu, którzy działali na niwie zawodowej i społecznej miasta, ma *Słownik Biograficzny Śremu* (cz. I – wyd. w 2008 roku, cz. II – wyd. w 2020 roku). Odkrywamy kolejne postacie, których ślady obecności i aktywności na terenie Śremu odnajdujemy w rozmaitych źródłach historycznych (archiwaliach, prasie, wspomnieniach). Jednym z takich ludzi jest Leon Kruczyński.

Kruczyński na świat przyszedł w Rogoźnie (pow. obornicki) 5 kwietnia 1899 roku, jako syn Stanisława i Antoniny z d. Perek. W rodzinnej miejscowości ukończył najprawdopodobniej szkołę powszechną, po której podjął naukę w szkole budowy maszyn. Nie potrafimy powiedzieć, w którym roku przeprowadził się do Śremu. Pierwsza wzmianka o jego zamieszkiwaniu w naszym mieście, na którą natrafiłem, pochodzi dopiero z roku 1931. Możemy domyslać się, że względu na rok jego urodzenia, że brał udział w I wojnie światowej. Wiemy, że uczestniczył w powstaniu wielkopolskim. Nie posiadamy jednak informacji na temat miejsca, czasu i oddziałów, w szeregach których walczył. Nie wiemy, czym zajmował się zawodowo przed przybyciem do Śremu. Te pytania czekają na swoją odpowiedź.

W każdym razie w latach 30. XX w. pracował w Zarządzie Miejskim w Śremie na stanowisku sekretarza. Był tam zatrudniony do wybuchu II wojny światowej.

Poza obowiązkami zawodowymi udzielał się społecznie. Należał do licznych stowarzyszeń funkcjonujących w Śremie, i zasiadał w ich władzach. Jako uczestnik zrywu z lat 1918–1919 poświęcał się pracy w organizacjach kombatanckich, zrzeszających weteranów tego powstania. W lutym lub marcu 1931 roku objął funkcję prezesa Koła Towarzystwa Powstańców i Wojaków w Śremie. W chwili jego wyboru koło skupiało 120 członków. Podczas zebrania plenarnego Towarzystwa, które odbyło się w kwietniu 1931 roku, przedstawił referat zatytułowany *Opis terenu operacyjnego Wielkopolski*. Prelegent ukazał w nim znaczenie powiatu śremskiego „jako składowego czynnika w całokształcie obrony ziem zachodnich”. W kwietniu 1938 roku znalazł się w pierwszym zarządzie Koła Związku Powstańców Wielkopolskich w Śremie (organizacja powstała ze scalenia kół Towarzystwa Powstańców i Wojaków i Związku Weteranów Powstań Narodowych RP 1914–1919), w którym powierzono mu funkcję zastępcy sekretarza. Sprawował ją do kolejnych wyborów, które miały miejsce wczesną wiosną 1939 roku. Wówczas został jednym z wiceprezesów Koła. Razem z jego prezesem Władysławem Ranusem był pomysłodawcą wzniesienia Domu Powstańca Wielkopolskiego w Śremie, który miał powstać jako siedziba Koła i budynek wykorzystywany na lokale mieszkalne dla sędziwych powstańców – członków Koła, pozbawionych wszelkich środków do życia. Działaniami związanymi



z pozyskaniem działki i budową na niej domu zajął się utworzony w tym celu Komitet Budowy Domu Powstańca Wielkopolskiego. Jego członkowie zostali wybrani 27 kwietnia 1938 roku. Pracami 5-osobowego ciała kierował Leon Kruczyński. Komitet, pod jego przewodnictwem, zwrócił się z wnioskiem do Rady Miejskiej o przydzielenie Związkowi gruntu pod budowę jego siedziby. Miasto ofiarowało mu teren, na którym znajdował się budynek dawnego hotelu „Bazar”. Koło mogło rozebrać usytuowany tam obiekt i postawić nowy. Ostatecznie zdecydowano się na jego przebudowę. Dom Powstańca został otwarty 2 lipca 1939 roku. W trakcie tej uroczystości wystąpił z referatem, który poświęcony był historii śremskich powstańców i ich pracy organizacyjnej. Był także aktywny w Kurkowym Bractwie Strzeleckim, gdzie pełnił funkcję pisarza zarządu oraz członka „Korpusu Oficerskiego”. Przez moment zajmował stanowisko sekretarza Towarzystwa ku Upiększaniu Miasta Śremu. Wchodził w skład zarządu Śremskiego Klubu Sportowego (ŚKS). Znałca tematyki Józef Ratajczak pisze w monografii pt. *70 lat sportu śremskiego 1921–1991*, że na czele zarządu klubu, w kadencji 1932–1934, stał Nikodem Popiałkiewicz. Ówczesna prasa („Nowy Kurier” z kwietnia 1933 roku) podaje informację, że prezesem na walnym zebraniu został wybrany Leon Kruczyński, dotychczasowy wiceprezes. Fakt przekazany przez gazetę jest sprzeczny z ustaleniem zawartym w opracowaniu. Według Ratajczaka, we wspomnianym okresie, funkcję wiceprezesa sprawowały dwie osoby. Byli to Eryk Średzki i Franciszek Czajka. Numer wyżej wymienionego dziennika mówi dodatkowo, że Kruczyński został prezesem, piastując w chwili obioru funkcję wiceprezesa. Nie wiadomo, z jakich źródeł czerpał autor wspomnianej publikacji (czy były to wykazy władz klubu, kiedy sporządzone, a może protokoły z walnych zebrań?). Informacja prasowa może być prawdziwa i pokazywać zmiany we władzach klubu (rezygnacje ze stanowisk), które zaszły w trakcie kadencji. W I. 1934–1935, za prezesury Eryka Średzkiego, Kruczyński sprawował stanowisko I wiceprezesa ŚKS. Pracując w Zarządzie Miejskim, był sekretarzem (od 1934 roku) Sekcji Samorządowej Bezparyj-

nego Bloku Współpracy z Rządem. Figurował na wykazach, takich organizacji jak: Polski Czerwony Krzyż (członek komisji rewizyjnej), Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Towarzystwa Opieki nad Więźniami (członek władz).

Zasiadał również w wielu komitetach, które zawiązywano w Śremie. W 1935 roku powołał, razem z Władysławem Miękusem, Lokalny Komitet Dożywiania Dzieci. Obaj panowie byli jego jedynymi członkami. Odbiorcami pomocy udzielanej przez Komitet, były ubogie dzieci, uczęszczające do męskiej i żeńskiej szkoły powszechnej. Komitet objął swoim wsparciem 140 uczniów i 170 uczennic. Datki pieniężne zebrane wśród mieszkańców przeznaczył na przygotowanie zupy mlecznej i zakup bułek. W 1938 roku wziął udział (jako członek komitetu) w organizowaniu obchodów jubileuszu 50 lat istnienia i działalności Towarzystwa Ogrodniczego i Towarzystwa Młodych Przemysłowców. W tym samym roku został sekretarzem Komitetu do Odnowienia Figury NMP, która ustawiona była (i stoi aktualnie) w rogu rynku miejskiego (Plac 20 Października). Komitet uzyskał środki na renowację figury. Pochodziły one z urządzanych kwest oraz imprez. Figura została odnowiona i odmalowana. Zdemontowano żelazne kraty, które otaczały figurę, i ułożono wokół niej kostkę kamienną, którą umieszczono na niskim wywyższeniu. Przewodniczył również Komitetowi Rodzicielskiemu w Szkole Powszechnej nr 1 (szkoła męska) w Śremie.

Po rozpoczęciu wojny opuścił prawdopodobnie Śrem. W okresie okupacji mieszkał w Poznaniu, na ul. Żupańskiego 5. Tam włączył się w pracę konspiracyjną. Służył w Armii Krajowej. 18 lutego 1944 roku został aresztowany przez gestapo w Poznaniu i uwięziony w Forcie VII, a później w Żabikowie, skąd 12 lipca 1944 roku został przetransportowany do obozu koncentracyjnego (KL) Mauthausen – Gusen, gdzie zmarł. Podczas pobytu w obozie nosił numer więzienny 79539. Kruczyński posiadał odznaczenia: Medal Niepodległości (1938) i Srebrny Krzyż Zasługi (1938). Ożenił się z Cecylią z d. Gapska.



**POLSKI ZWIĄZEK  
B. WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH HITLEROWSKICH WIĘZIEŃ  
i OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH**

## DEKLARACJA CZŁONKOWSKA

Proszę o przyjęcie mnie w poczet członków Związku. Podzielam całkowicie zasady, wyrażone w Statucie Związku. Zobowiązuję się być czynnym członkiem organizacji i ściśle wypełniać zarządzenia władz Związku.

1. Nazwisko Strużyński imię Leon
- Dla mężatek nazwisko panięńskie \_\_\_\_\_
2. Imiona rodziców Stanisław - Antonina
3. Data urodzenia 5.4.1899r. miejsce urodzenia Łódź
4. Stan cywilny żonaty zawód inżynier samodzieln.
5. Wykształcenie szkoła powszechna i szkoła budowy maszyn
6. Miejsce zamieszkania do chwili aresztowania Poznań, ul. Dąbrowskiego 5
7. Czy brał udział w pracy konspiracyjnej (udział w org.) \_\_\_\_\_
8. Data aresztowania i miejsce 10.2.1944r. w Poznaniu
9. Powód aresztowania: a) z łapanek \_\_\_\_\_  
b) zakładnicy \_\_\_\_\_  
c) przynależność do organ. konspirac. A. S.  
d) inne \_\_\_\_\_
10. Nazwisko, pod którym został aresztowany Strużyński
11. W jakich obozach, więzieniach przebywał i w jakim czasie od 10.2.44. - 12.7.44r. w forcie II i w Łabkowie - od 12.7.44r. przenieśliśmy do Kautthausen - Lüneburg
12. Numer, względnie numery więźnia w obozie Kautthausen - Lüneburg 49539
13. Data wyjścia z obozu na wolność czymś w porze Kautthausen
14. Data powrotu do kraju \_\_\_\_\_
15. Łączny czas pozbawienia wolności \_\_\_\_\_
16. Czy brał udział w pracach konspirac., samopomocowych, na terenie obozu, gdzie, w jakim czasie nie brał



Danuta PŁYGAWKO

## Śremska biografia poetki Pauli Węzyk (1876–1963)

Wielkopolanka, literatka, Paula Węzyk, była w pierwszej połowie XX w. popularną, lubianą, cenioną poetką i pisarką piszącą dla dzieci. Urodziła się 11 kwietnia 1876 r. w Kępnie, w znanym rodzie Węzyków z Osin, herbu Wąż. Prawie 40 lat mieszkała i pracowała w Poznaniu. Ostatnie 20 lat życia w Śremie, któremu poświęciła wiersz *Kocham Śrem!* Zmarła 27 kwietnia 1963 r. i spoczywa w grobowcu Familii Tadrzyńskich na cmentarzu farnym.

Wiersze, utwory sceniczne i opowiadki Pauli Węzyk nie były wznawiane po jej śmierci, dlatego też jest dziś prawie zapomniana. Jej biogram, opracowany przez spokrewnionego z Poetką – Sławomira Leitgebera, przeczytać można w *Wielkopolskim słowniku biograficznym* (wyd. 1981). Napisał też kilka artykułów wspomnieniowych. Informacje w nich zawarte stały się podstawą dla wszystkich, którzy o Poetce kiedykolwiek wspominali. Od dawna śremianie upominali się o biografię Pauli Węzyk. Pisali o tym (w porządku chronologicznym): Adam Podsiadły, Józef Bąkowski, Jadwiga Kaczmarek, Barbara Jahns, Hanna Kabat, Barbara Nowicka i ostatnio Danuta Płygawko i Ewa Bąk. Te ostatnie wspierał burmistrz Śremu – Adam Lewandowski, zapowiadając już w 2008 r. projekt opracowania biografii *Poetka, która pokochała Śrem*.

W maju 2021 r. podjęły się ostatecznie tego zadania niżej podpisana, historyczka – Danuta Płygawko i starszy bibliotekarz – Ewa Bąk. Wobec braku osobistego archiwum Pauli Węzyk stanęły przed trudnym zadaniem. Trzeba było zapełnić „białe plamy” z życiorysu Pauli Węzyk i znaleźć wszystko co opublikowała. Sięgnięto do pamiętników, opracowań genealogicznych, monografii i wielu artykułów. Jednak podstawą do zdobycia

wszelkiej wiedzy o Poetce, była przede wszystkim prasa. Żmudną kwerendę w bibliotekach cyfrowych prowadziła, przez cały rok pracy nad książką, Ewa Bąk. Odnalazła wiersze Poetki w ponad 40 polskich czasopismach (także wychodzących w skupiskach polskich w Europie i Stanach Zjednoczonych). Wiersze i inne teksty Poetki przepisała i zarchiwizowała. Nieocenioną pomoc w dotarciu do publikacji Pauli Węzyk uzyskała Danuta Płygawko w wielu bibliotekach (np. Uniwersyteckiej w Poznaniu, Wydziału Teologicznego UAM, Narodowej, Ossolineum we Wrocławiu). Cenne pamiątki, w tym autograf wiersza *Kocham Śrem*, znajdują się w Muzeum Śremskim. Udało się kupić cztery książki Pauli Węzyk przez Internet. Kilka osób udostępniło własne. Autorki uzyskały pomoc na wszystkich etapach pracy nad biografią Pauli Węzyk, od wielu osób. Długą listę nazwisk zamieściły w „Podziękowaniu”.

Ostatecznie, w dniu 12 sierpnia 2022 r. Wydawcy – w osobach dyrektor Biblioteki Publicznej im. Heliodora Święcickiego pani Anny Laski-Szmyt i koordynującego serię „Śrem w małych monografiach” pana Jerzego Kondrasa, otrzymali od Auterek liczący 270 stron maszynopis książki *Paula Węzyk (1876–1963). Poetka, która pokochała Śrem*.

Autorki, szukając koncepcji książki, zdecydowały się podzielić ją na dwie części. W pierwszej zrekonstruowano biografię i wszelką działalność Poetki, w drugiej ukazały jej twórczość, dokonując jedynie wyboru wierszy z 5 książek, prasy, udostępnionych rękopisów od osób prywatnych i z Muzeum Śremskiego.

Zapewne wczesną jesienią, napisana przez śremianki biografia Pauli Węzyk będzie dostępna dla wszystkich, którym bliska jest ta postać. Bę-



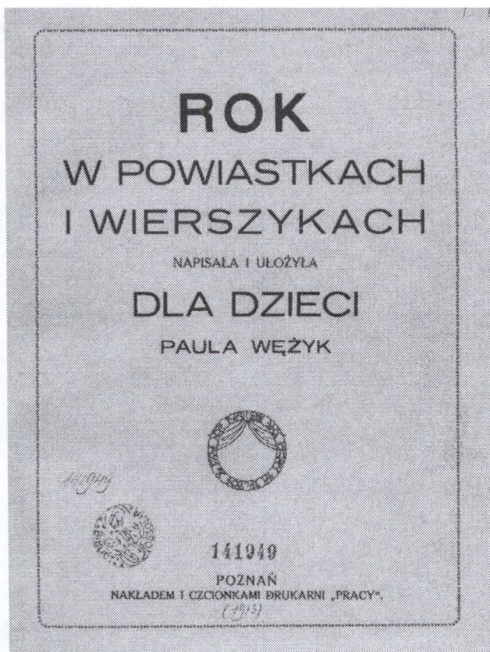


Paula Wężyk rok 1912

dzie można zapoznać się z Jej wierszami religijnymi opisującymi piękno polskiej przyrody, dokonania wielkich Polaków, związanymi z ważnymi wydarzeniami z historii Polski oraz wierszami o dzieciach, ich zabawach, uroku i przywarach.

Druk wyboru wierszy (jak ktoś powiedział „książki w książce”) możliwy jest dzięki zgodzie którą Autorki uzyskały dla Wydawcy od pana Stanisława Leitgebiera.

Treść książki uzupełniają fotografie jej bohaterki i rodziny Wężyków, udostępnione już w 2008 r. Danucie Pływawko przez Sławomira Leitgebiera. Zamieszczono też reprodukcje kilku okładek publikacji Pauli Wężyk oraz ilustracje z tomików, wykonane przez znakomitych malarzy. Indeks



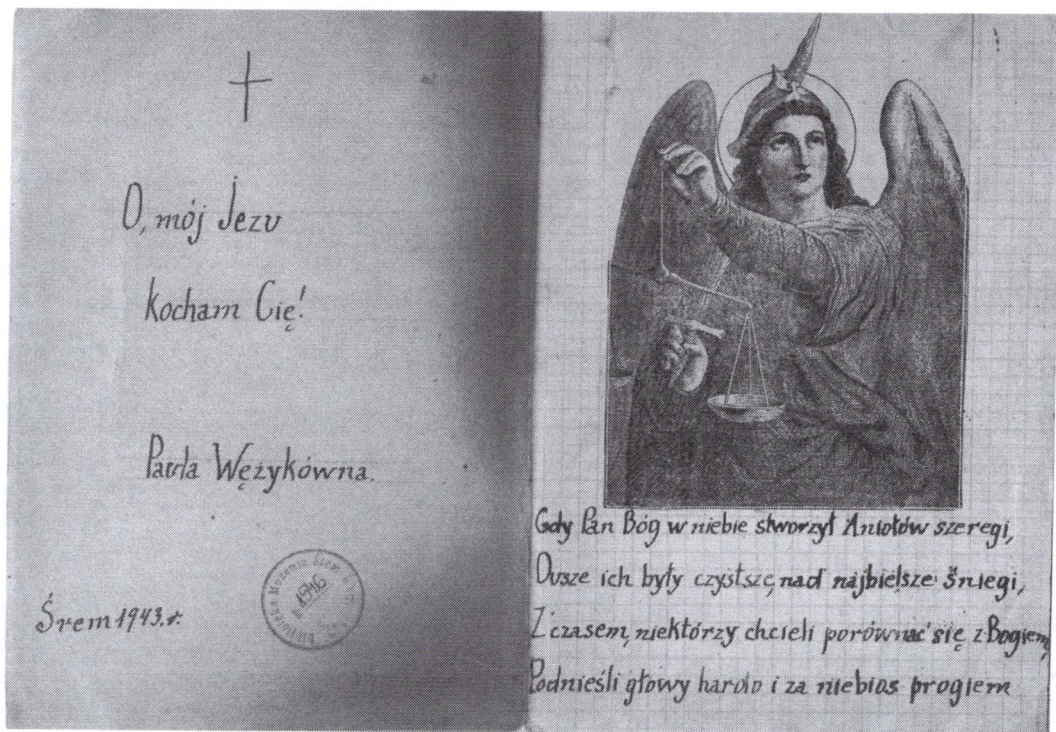
Strona tytułowa książki Pauli Wężykówny

osób i wierszy na pewno ułatwi studiowanie treści, a bibliografia pracę tym, którzy będą chcieli kontynuować badania nad życiem i twórczością tej wielkopolskiej Poetki. Wszystkie przywołane w książce informacje posiadają przypisy. Sporządzono wykaz 25 książek Pauli Wężyk, opublikowanych w latach 1905–1954.

Szkic biograficzny podzielono i opracowano w punktach:

1. Wężykowie z Osin herbu Wąż; 2. Rodzice; 3. Siostry; 4. Dzieciństwo w Kępnie i Ostrowie Wielkopolskim (1876-1889); 5. Mieszkanka Kalisza. Edukacja. Wydarzenia w rodzinie (1890-1902); 6. W Poznaniu (1902-1913); 7. Trudne lata (1914-1921); 8. Powrót do pracy – „Głos Wielkopolanek” – „Nasz kącik” (1922-1923); 9. W Śremie – wychowawczyni w ochronce (1923-1924); 10. Ponownie w Poznaniu. Lata 1924-1929. Praca i twórczość. Jubileusz; 11. Lata trzydzieste. Odznaczenie Polskiej Akademii Literatury; 12. W czasie okupacji hitlerowskiej (1939-1945). Pleszew i Śrem; 13. Spokojna jesień życia w Śremie (1945-1963).





Rękopis zbioru wierszy O mój Jezu, Kocham Cię, arch. Muzeum Śremskiego

### PAULA WĘZYK

#### DO ŻYCIA

Precz z marzeniami, precz, ach, precz,  
Trza trzeźwy przed się rzucać wzrok,  
Nam już nie wolno patrzeć wstecz...  
Nam trza dni przyszłych przedrzeć zmrok!

Precz z marzeniami? – Ach nie, nie! –  
Jakże bez marzeń można żyć? –  
Cóż nową siłę w serca tchnie,  
Kiedy się marzeń przerwie nić? –

Więc żadnych myśli jasnych lśnień  
I żadnych lotów ducha wzwyż,  
Nic nam już przyszły nie da dzień,  
Nic, tylko ból i żal i krzyż? –

Ach, pokąd młodość w sercu wre,  
Chcę snuć marzenia złotą nić,  
O życie, życie Kocham cię,  
Chcę marzyć, kochać i chcę żyć!



Ryszard ROSZYK

# Zamki nad Wartą

## Wspomnienia mierzone kilometrami Warty Część 2

Warta, co prawda, to nie Loara słynąca z zamków, a mimo to nad brzegami naszej Warty też można podziwiać kilka takich budowli, może nawet starszych i być może o ciekawszej przeszłości od tych francuskich.

Podczas spływania kajakiem różnymi odcinkami Warty, spotykałem na brzegach, lub w pobliżu brzegów zamki, o których niewiele się mówi. Przemierzając ponad 500 kilometrów Warty, pierwszy zamek spotkałem w Uniejowie.

Po przyjeździe do Uniejowa w południe samochodem z kajakiem na dachu, oczywiście obowiązkowo kawa w kawiarni „Termalnej”, po czym krótki spacer do kładki dla pieszych nad Wartą, pod uniejowski zamek oraz w pobliże kompleksu „Termy Uniejów”. Kolejka do kas wynosząca ponad trzyście metrów, zniechęciła nas do obejrzenia głównej atrakcji tego miejsca. Zwodowałem kajak przy uniejowskiej plaży, w pobliżu 467 kilometra Warty, (kilometry rzeki mierzy się od ujścia w kierunku źródeł), tuż obok rury, z której odprowadzany jest nadmiar ciepłej wody z basenów termalnych. Zapakowałem do niego cały ekwipunek, prowiant na kilka dni. Jeszcze tylko pamiątkowe zdjęcie i przy pięknej słonecznej pogodzie, ruszam z biegiem Warty. Po przepłynięciu kilkuset metrów, minięciu kładki dla pieszych łączącej miasto Uniejów

z termami, na lewym brzegu ukazuje się otoczony parkową zielenią stary zamek.

*Zamek ten został zbudowany w latach 1360–1365 na miejscu starej drewnianej fortyfikacji, zniszczonej podczas najazdu Krzyżaków w 1331 r. Służył jako rezydencja arcybiskupom gnieźnieńskim. Przez wiele lat, skutecznie przechowywane tu były cenne dla Polaków relikwie Świętego Wojciecha, które mogły być cennym łupem najeźdźców na Polskę. Zamek wielokrotnie przebudowywany, na skutek czego w I połowie XVII wieku przestał pełnić rolę obronną. Do lat trzydziestych XIX wieku był w posiadaniu biskupów, a 1836 roku car Aleksander przekazał zamek wraz z nadaniem tytułu hrabiowskiego Karolowi Troll, w nagrodę za zasługi podczas tłumienia powstania listopadowego. Rodzina Troll spolonizowała się i władała zamkiem do końca I wojny światowej. W latach 1956–1967 zamek odrestaurowano i służył jako archiwum. Obecnie mieści się w nim hotel, restauracja i centrum konferencyjne. Tuż obok powstał kompleks termalny, będący główną atrakcją Uniejowa.*

Robię tu kilka zdjęć, a nieco dalej widzę rozpiętą nad rzeką linę długą na 100 może 150 metrów. To „tyrolka”, po której można zjechać z prawego brzegu do parku otaczającego zamek. Tuż za tą atrakcją, może zaskoczyć nizinny kajakarza tak zwane „bystrze” (bystrze w słownictwie kajakarzy, to miejsce na rzece, w którym nurt znacznie przyspiesza, tworząc krótkie, czasami bardzo strome fale). Po przepłynięciu z zachowaniem ostrożności tej niewielkiej przeszkody, podziwiam brzegi rzeki, które są porośnięte wysokim lasem. Gdzieś tam dostrzec można ostatnie, ukryte w zieleni budynki Uniejowa.

Po kilku kilometrach, Warta płynie już stosunkowo prosto, nie tworząc zakol, a szerokość jej wynosi około 50 metrów.



Autor tekstu, R. Roszyk na Warcie w Uniejowie,  
fot. Doniu Nowakowski





Zamek w Uniejowie, fot. R. Roszyk

Na brzegach sporo łowiących wędkarzy, którzy jak zwykle narzekają na niezadowalające wyniki połowów. Tu akurat kiepskie połowy mają uzasadnienie – nieregularne spuszczenie wody z położonego niedaleko zbiornika Jeziorsko powoduje częste wahania stanu wody w rzece.

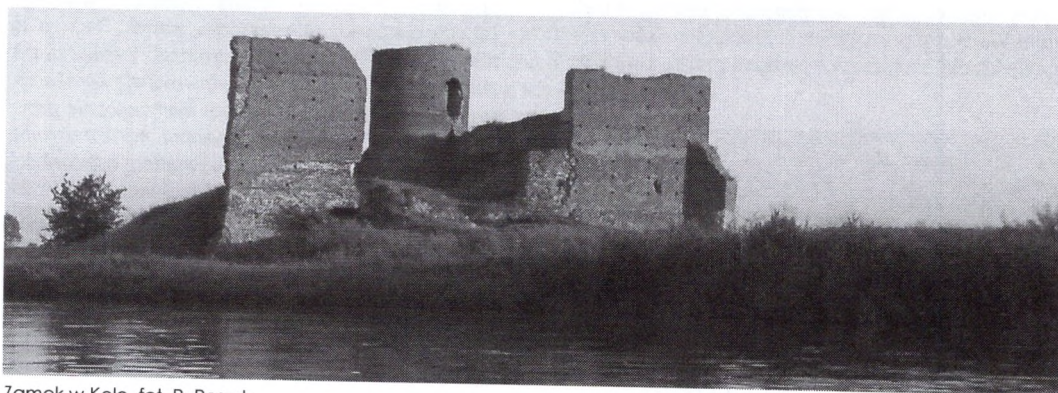
Co jakiś czas mijam przeprawy promowe, służące okolicznym rolnikom. Niektóre promy, są tak skonstruowane, by mogły przewieźć na drugi brzeg ciągnik z dwoma przyczepami, więc zaciągnięte przy brzegu, czasami zajmują prawie połowę koryta Warty.

Na tym odcinku Warta stanowi granicę pomiędzy województwami Wielkopolskim a Łódzkim. Po przepłynięciu około 20 kilometrów, znajduję wygodne miejsce do wyjścia na brzeg, oczywiście lewy, już w naszym województwie, by zregenero-

wać siły i spożyć posiłek. Godzinny relaks na słońcu dobrze robi.

Zbliżam się do mostu autostrady z Warszawy do Poznania, na której obserwuję bardzo duży ruch, zwłaszcza ciężarówek.

Nieco dalej z prawej strony wpływa do Warty Ner, rzeka która przez dłuższy czas wprowadzała do naszej Warty sporą ilość zanieczyszczeń wytwarzanych przez Łódź. Na zdjęciach satelitarnych wygląda to nieatrakcyjnie. W rzeczywistości to nadal widać i czuć. Do Koła, gdzie planowałem biwakować, pozostaje około 8 kilometrów. Na brzegu nie ma tablic kilometrowych, ponieważ tam Warta nie jest szlakiem żeglownym. Orientuję się, co do mojego położenia za pomocą smartfonu korzystając z map Google.



Zamek w Kole, fot. R. Roszyk





Zamek w Pyzdrach, budynek w prawo od wieży kościelnej, fot. Ryszard Roszyk

Jest już dobrze po godzinie 18, więc należałoby się pospieszyć.

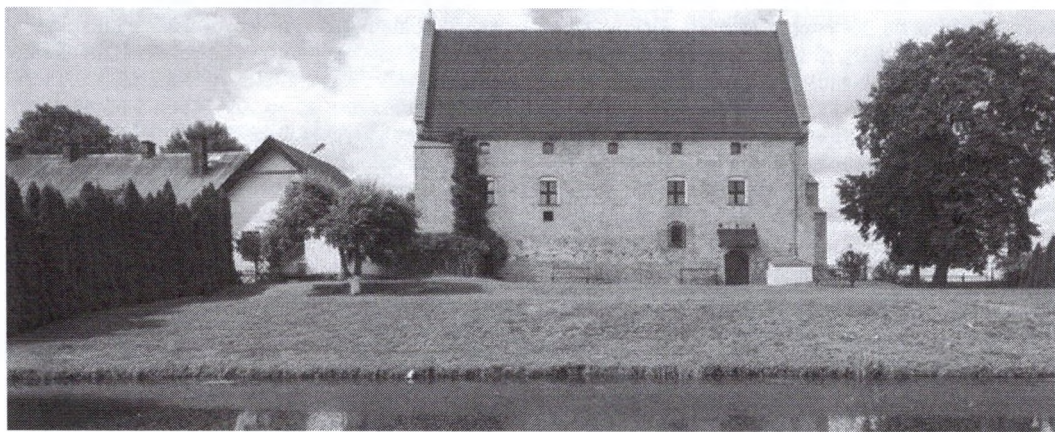
W pobliżu miejscowości Powiercie-Kolonia, nagle Warta zmienia swój kierunek na południowy, po czym gwałtownie przewęza się i zakręca o 180 stopni i płynie znowu w kierunku północnym. Cyfel, który opływa rzeka ma mniej więcej szerokość 20 do 30 metrów. Czym jest spowodowany taki przebieg Warty w tym miejscu, nie potrafię sobie wytłumaczyć. Może fachowiec – Michał Lorenc, kiedyś mi funkcjonowanie tego niezwykłego miejsca naukowo wyjaśni.

Pareset metrów dalej przepływam pod mostem drogowym na dawnej trasie z Poznania do Warszawy, kiedy nie było jeszcze autostrady. Zbliżyłam się do Koła. Miasto, podobnie jak Śrem, rozłożyło się na obu brzegach Warty, połączonych mostem. Na lewym brzegu stara część miasta z charakterystyczną, ośmiokątną wieżą ratusza. Nie zatrzymuję się, bo czas nagli i trzeba znaleźć odpowiednie miejsce na biwak.

Przy 433 kilometrze Warty, na lewym brzegu, pojawiają się ruiny zamku, usytuowanego na sztucz-

nie usypanym pagórku. Wokół ruin jest obszerna łąka, stosowne miejsce na rozbiście namiotu. Zamek robi duże wrażenie w nisko świecącym słońcu. Znajduję dogodny do wyjścia z wody miejsce, zabezpieczam kajak i od razu udaję się „na zdjęcie”, wykorzystując korzystne dla fotografowania światło. Chodzę po miejscach, które kiedyś były dziedzińcem zamkowym, zapoznając się z historią tej warowni i jej wyglądem odtworzonym na znajdujących się tam tablicach.

*Zamek w Kole został wzniesiony po 1365 roku na polecenie króla Kazimierza Wielkiego (wieś Kolo uzyskała w 1362 roku prawa miejskie). Posiadał dwie wieże, a mury wzmocnione szarpami miały wysokość około 5 metrów. Prawdopodobnie król Kazimierz Wielki nie doczekał się ukończenia budowy tego zamku (zmarł w 1370 roku). Udokumentowane jest, że w zamku tym przebywało wielu władców Polski (Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk czy Zygmunt Stary). W 1655 roku zajęli go Szwedzi. W XVII wieku August III nadał zamek bernardynom z Kola, którzy rozpoczęli jego rozbiórkę w celu pozyskania cegły na odbudowę klasztoru. Od tego czasu zaczął popadać w ruinę.*



Zamek w Sierakowie, fot. R. Roszyk



*W XX wieku ruiny poddano konserwacji i wielokrotnie prowadzone były badania archeologiczne. Częste wylewy Warty spowodowały zawalenie się części północnego muru.*

*We wrześniu 2020 roku, burmistrz Kola poinformował, że na najbliższe lata planowane jest stworzenie wokół zamku „dużego centrum rekreacyjnego” – ma powstać plaża oraz baza gastronomiczna. W ten sposób może to magiczne miejsce zagać bezpowrotnie.*

Z zamku w formie ruiny pozostały spore fragmenty murów, wieża, fragment piwnic i murów budynków gospodarczych znajdujących się na dziedzińcu zamkowym.

Słońce chyli się ku zachodowi, a ja spaceruję po tym fascynującym miejscu. Czas na zajęcie się zorganizowaniem biwaku oraz kolacji. Namiot rozbijam na łące w odległości około 100 metrów na południe od zamku. Zapada zmrok i po posiłku kładę się spać. Z ruin dobiegają odgłosy młodzieży, która wieczorami przychodzi tu relaksować się w tej niezwyklej scenerii.

Pobudka o godzinie szóstej. Słońce już dość wysoko oświetla ruiny, które dzisiaj nie są tak zagadkowe i tajemnicze. Znowu wykonuję trochę zdjęć i po śniadaniu zwijam namiot, pakuję ekwipunek do kajaka i udaję się w dalszą drogę.

Do następnego zamku, który znajduje się nad brzegiem Warty muszę przepłynąć 83 kilometry. Zatrzymuję się w Koninie, by skorzystać z usług gastronomii, przepacerować się po odrestaurowanym starym mieście i zagospodarowanym bulwarami na lewym brzegu. Pozostawiam za sobą Sławk z ładnym dworkiem, położonym tuż na brzegu. I zakładam kolejny biwak w pobliżu tablicy 374. Następnego dnia płynę dalej mijając schowany za drzewami na prawym brzegu zespół dawnego opactwa pocysterskiego w Łądzie oraz kilka kilometrów dalej, również na prawym brzegu pałac biskupi w Ciążeniu.

Po minięciu tablicy wskazującej, że jestem na 350 kilometrze Warty i pozostawieniu za sobą mostu, na prawym wysokim brzegu pojawiają się zabudowania Pyzdr. Na pierwszy rzut oka wyróżniają się budynki zespołu szkół z ładnym murem, przedstawiającym ważne wydarzenia z historii miasta oraz odrestaurowany kompleks pofranciszkański. Między tymi budowlami znajduje się coś co nazywane jest zamkiem, a który na skutek wielokrotnego przebudowywania obecnie przypomina szarą kamienicę czynszową. W części dawnego zamku prowadzona jest jakaś działalność gospodarcza, a część jest przeznaczona na mieszkania.

Z ciekawostek z historii Pyzdr należy wymienić wydarzenie, że tu wykorzystano po raz pierwszy na ziemiach polskich artylerię już w 1383 roku oraz fakt, że miasteczko to było najbardziej na zachód wysuniętym miastem w carskiej Rosji, która rozciągała się od Władywostoku do Pyzdr.

Pokonując kolejne odległości rzeką Wartą, mija się Śrem, który niestety nie może poszczycić się zamkiem.

W Obornikach przy 205 kilometrze Warty w pobliżu ujścia Welny zapewne też kiedyś stał zamek, po którym obecnie została tylko nazwa ulicy biegnącej od rynku w kierunku do Welny i restauracja o nazwie Zamkowa, z ogródka której rozciąga się piękny widok na Wartę i jej przeciwny brzeg,

Do następnego zabytkowego zamku należy pokonać ponad 60 kilometrów. W Sierakowie, (144 kilometr) na lewym brzegu Warty stoi część zamku, który swoją świetność miał w XVI wieku, gdy był własnością rodziny Opalińskich. Po wielu perypetiach, zmianie właścicieli, rozbiórce w celu pozyskania materiałów budowlanych, został odrestaurowany w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Odbudowano południowy fragment zamku oraz część murów obronnych z fosą. Znajduje się w nim muzeum regionalne oraz unikalna kolekcja portretów trumiennych.

Na koniec należy wymienić dwa zamki wybudowane w XXI wieku, położone w pobliżu Warty, które nie przynoszą naszemu regionowi chwały. Pierwszy to zamek w Poznaniu na Górze Przemysław, (242 kilometr) często nazywany Gargamelem, od negatywnego bohatera filmów rysunkowych wyświetlanych w telewizji dzieciom na dobranoc. Jedynym plusem jest prowadzona w nim działalność muzealna.

Drugi, to słynny na całą Polskę zamek w Stobnicy, (188 kilometr Warty) będący w trakcie budowy, na sztucznie usypanej wyspie na jeziorze, na terenie objętym obszarem chronionym Natura 2000, który jest przedmiotem spraw sądowych i postępowań administracyjnych. Osobiście oglądałem go z odległości około 2 kilometrów z poziomu zabytkowego, nieczynnego mostu kolejowego nad Wartą. Można by było jeszcze wspomnieć o wielu atrakcyjnych i świetnie utrzymanych pałacach zlokalizowanych w pobliżu Warty, jak w Pstrokonach koło Sieradza, Ciążeniu, Rogalinie czy Obrzycku. O dworach, które można spotkać płynąc z biegiem Warty już nie wspomnę.

Cóż, Warta nie Loara, ale też swoje zamki posiada. Spływ kajakiem Loarą nadal pozostaje w moich planach.



Marceli SZCZĘSNY

# Kolonialki

## SENTYMENTY

Zapewne mało kto dzisiaj jeszcze pamięta, że kolonialkami nazywaliśmy sklepy spożywcze, które w branży kupieckiej występowały najliczniej. Na 7 tys mieszkańców Śremu w 1931 r. istniały 34 sklepy (składy) ogólnospożywcze, przy 16 mięsnych i 15 piekarniczych. Każdy dom zaopatrywał się w artykuły żywnościowe zasadnicze w jednym, stałym punkcie. Pozwalało to kupcom odpowiednio regulować zaopatrzenie. Z dostawami nie mieli oni żadnego kłopotu. Realizowała je hurtownia Stefana Pawlickiego przy ul. Poznańskiej (zostały magazyny – dom rozebrano).

Krótko po odzyskaniu niepodległości zaczęto propagować ideę spółdzielczości. Mój ojciec, który był bardzo podatny na wszelkiego rodzaju nowinki, jako pierwszy zapisał się na członka spółdzielni „Zgoda” i dumny był, że otrzymał legitymację nr 1. Swoją sklep otworzyła spółdzielnia w domu Madalińskich (narożnik ul. Farnej). Oczywiście wszelkich zakupów dokonywaliśmy w „Zgodzie”. Nie wiadomo, czy to personel sklepu był mało operatywny, czy też idea spółdzielczości nie cieszyła się większą popularnością (bowiem „pachniała” trochę socjalizmem; a w Wielkopolsce wyznawano powszechnie ideologię Romana Dmowskiego) dość, że z braku szerszego poparcia „Zgoda” po kilku latach zrobiła zwyczajną plajtę. Zgodnie ze statutem spłatą zadłużenia obciążono członków – udziałowców. Tak więc dość słono kosztowała ojca ta legitymacja nr 1.

Najlepsze obroty robiły sklepy w Rynku z uwagi na odbywające się targi i napływ w tych dniach ludności wiejskiej. Decydował jednak sam punkt, bowiem położenie np. „Zgody” nie było zbyt fortunne. W tym kierunku szło się jedynie do kościoła albo do szpitala, zwykle w godzi-

nach, gdy sklep był zamknięty. W doskonałym punkcie znajdował się np. sklep Iłskiego – w pobliżu wylotu ul. Kościuszki, toteż w dni targowe było tam tłoczno. Duży ruch mieli także: Berelkowski w domu „pod złotą kulą” oraz na przeciwko Gibowski. Za mostem w domu Komedzińskich wiele inicjatywy dla przyciągania klientów przejawiał kupiec młodej generacji Maksymilian Kwias; Firma „Ma-Kwias”, dowcipnie reklamowała się: „Po śledzia matiasa – do Ma-Kwiasa”. Dobrze zaopatrzony sklep znajdował się również na przeciw „Kasy Chorych”, prowadzony przez Matuszewską. Powszechnie znana była piwnica w kamienicy Nowaka w Rynku, gdzie popularna Antosia Małecka sprzedawała warzywa, nabiał i drób. Im dalej od śródmieścia, tym uboższe były sklepy, przeważnie małe sklepiki. Sprzedawały podstawowe artykuły, jak cukier, sól, mydło, śledzie, powidła itp.

Do znanych i popularnych kolonialek należały też sklepy Wł. Świetlika przy Mostowej (obecnie Walki Młodych; budynek już rozebrany). Przy ul. Kościuszki były jeszcze dwa dobrze prosperujące sklepy Czesława Galeckiego (z restauracją na zapleczu) oraz mały, ale chętnie odwiedzany przez klientów sklep Tomasza Frąckowiaka. Tu nabyć można było wszystko, również mleko i różne produkty mleczarskie. Na życzenie mleko nawet bezpłatnie gotowano!

Nie można nie wspomnieć też o sklepie kolonialnym przy dawnej ulicy Przemysława, którego właścicielem był Wł. Kieć. Tu zaopatrywała się ludność mniej zamożna, której z dużym zrozumieniem udzielano kredytu. Sklep był dobrze zaopatrzony. Sprzedawano naftę, tanie śledzie z zupą śledziową – „śledziówką”. Dzieci chętnie kupowały tu tanie cukierki – popularne „dropsy”



i „cygarki” za 1 grosz. Zwykle właściciel dawał tych cukierków więcej, niż przypadało ich za niewielką sumę, którą dysponował biedny chłopak.

Z całej sieci placówek handlu spożywczego wybitnie wyróżniał się, sklep delikatesowy Stanisława Wańskiego z ul. Kościuszki. W obszernym lokalu z dwoma oknami wystawowymi można było zaspokoić najbardziej luksusowe zachcianki. Znajdowały się tam wszelkiego rodzaju słodycze, kawa, kakao, różne wina, likiery, wódki gatunkowe, pomarańcze, banany, rodzynki, liczne gatunki, serów, łosoś itp. Przed Gwiazdką na drążkach przed sklepem po obu stronach wejścia zwisały zające, a po obu stronach wejścia, bażanty, z długimi, barwnymi ogonami. Kto tam kupował? Głównymi klientami były okoliczne dwory ziemiańskie, z których często widywano

powozy przed sklepem. Powszechnie znaną cechą tego przedsiębiorstwa była nadzwyczaj miła i sympatyczna obsługa ze strony właściciela. Po prostu wchodziło się tam z przyjemnością. Muszę wspomnieć o jeszcze jednej placówce handlowej, w której rzadko widziało się kupujących, a jednak istniała. Był to specjalistyczny sklep sprzedaży kawy i wyrobów czekoladowych. Nie miał on wielu klientów, bo w tych czasach rzadko kto pił kawę w domu, najwyżej w jakiejś świeta. Sprzedawano ją też gdzie indziej. Może istnienie tej z pewnością deficytowej placówki, wyjaśnia w pewnym stopniu fakt, że sklep należał do niemieckiej firmy „Kaisers Kaffee Gesellschaft” z siedzibą w Poznaniu. To uparte trwanie w Śremie różnie można tłumaczyć.

„Głos Śremski” 11/1986

**Towary kolonialne**  
Kawa / Herbata / Cukierki  
oraz **owoce**  
POLECA  
**W. Henshke**  
ŚREM, RYNEK 17

Najstarsza hurtownia i największy detaliczny skład  
towarów kolonialnych, poleca stale świeże kawy  
z pierwszorzędných firm, jak najlepszej jakości,  
po najniższych cenach.  
Tel. 36. **W. Ilski, Śrem** Tel. 36.  
Udzielam rabatu na wszelkie towary.

— „Stale świeżo palone kawy” —  
Ceny niskie!  
Obsługa uczciwa i fachowa zawsze  
w **Domu Delikatesów**, właśc. I. Sarnowski  
ul. Kościuszki 13, telefon 51.

**„Ma Kwias”**  
Gdyniński Dom  
Delikatesów  
Śrem, Kilińskiego 3  
Tel. 60  
Punkt rozdzielczy: Przypominamy za rejestracją kart żywnościowych przyjmowana jest do 10 każdego miesiąca

Na czas Postu polecam: sielawki, bydlingi,  
śledzie wędzone oraz sery wszelkiego  
gatunku  
**W. Ilski** ŚREM, Rynek 8.  
Telefon 36.

**Tow. kolonialne** wina, delikatesy, dropsy,  
czekoladki — papierosy  
**B. Kostrzewski, Śrem, Rynek 34**

**SKŁAD**  
**KOLONIALNO-SPOŻYWCZY**  
**M. RITTER**  
poleca wszelkie towary spożywcze jak:  
kawy, herbaty, wyroby  
cukiernicze, soki i wina  
**Śrem, ul. Kościuszki narożnik**  
**Garbary 8**



Leszek MAŃKOWSKI

# Pogoda

## Jestem, więc pytam

Bywają dni, gdy nadmiar chmur i niedobór hektopaskali powodują, że nawet piąta kawa nie pomaga. Podczas upałów też dyskomfort. Pogoda, niedobra pogoda, zła pogoda. Niekorzystny biomet, opóźniony czas reakcji, spowolnione myślenie, alerty, ostrzeżenia... Powód do narzekań, sposobność do postękiwania, okazja do stresowania się? Problemy z pogodą, jakby mało było innych kłopotów. Co z tym zrobić? Denerwować się czy zachować spokój, działać czy poczekać? A może pomogłoby pozytywne myślenie? Może tak, ale niekoniecznie takie, jak w wielu wątpliwej jakości poradnikach. Bo to nie jest tak, że wystarczy pozytywnie się nastawić i – pstryk: stanie się to, czego oczekujemy. A już aura z pewnością takim „regułem” nie podlega. Pewnie pozostaje jedno: pogodzić się z pogodą.

Czy podobieństwo brzmieniowe między „pogodzeniem się” a „pogodą” jest przypadkowe? Stary, praslaviański jeszcze wyraz „pogoda” oznaczał pierwotnie „zgodę”, a zanim powstało jego dzisiejsze znaczenie, pogoda była rozumiana jako „dogodny czas, odpowiednia pora”. A i dzisiaj odnosi się nie tylko do warunków i zjawisk atmosferycznych. Pogoda oznacza także „równowagę ducha, spokój wewnętrzny”. Mamy więc „pogodę ducha”.

Tej pogody ducha sobie wzajemnie życzymy. Mówimy o kimś, że jest człowiekiem pogodnym. Jaką osobę mamy wtedy na myśli? Człowiek pogodny to w potocznym rozumieniu ktoś, kto jest zyczliwie usposobiony do otaczającej rzeczywistości; kto umie się cieszyć nawet drobiazgami, jakie życie mu przynosi. Może się na-

wet zdawać, że jest on posiadaczem jakichś cudownych umiejętności: bo potrafi uśmiechać się pomimo wszelakich życiowych trudności, komplikacji, niepowodzeń; bo jest pogodny na przekór wszystkiemu złemu.

Kiedy pomaga pogoda ducha? Pewnie przyda nam się zawsze. Jednak najbardziej pomoże wtedy, gdy sytuacja jest trudna, czy wręcz kryzysowa, kiedy moglibyśmy się zdołować, załamać, czy dać się pognębić. Decydujący będzie wówczas sposób działania „ratunkowego”. Są bowiem tacy, którzy rozwiązują sprawy siłowo, czyli zaciskają zęby, „biorą siebie samego za mordę” i – obiecują innym, że jeszcze im pokażą (a przynajmniej obiecują to sobie). A co robi człowiek pogodny? Niby to samo, przecież też podnosi się po porażce. To samo, ale jakże odmiennie – na miękko, z szacunkiem do świata i do siebie samego. Mówi: „Przecież jeszcze nie takiego strasznego się nie stało. Poczekajmy. Jeśli się stanie, to będziemy się martwić”. Człowiek taki jako pierwszy widzi światełko w tunelu. Co powoduje, że potrafi tak „elegancko” reagować?

W pogodzie ducha odnajdujemy jakąś zgodę – zgodę na świat, taki jaki jest. Na rzeczywistość, w której jest dobro i zło, obok sukcesów są porażki, a radościom towarzyszą smutki. Czyżby więc pogoda ducha miała być tożsama z życiową biernością? Mówi się, że taka pogoda pomaga w osiąganiu celów, otwierając nowe możliwości działania, wpływania na rzeczywistość. Ale – czy stan pogodzenia się ze światem, stan uspokojenia (i nawet beztroski) może generować ak-



tywność, działanie? Nie jest to paradoksem? Odpowiedź można znaleźć w tekście pochodzącej z lat 30. XX w. modlitwy: „Boże, użycz mi pogody ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagi, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego<sup>17</sup>”. Te słowa działają. Okazuje się, że wiele możemy osiągać, gdy jesteśmy aktywni tam, gdzie mamy sprawczą moc – i gdy zachowamy przy tym dystans do tego, co wykracza poza granice naszego wpływu. Potrzeba „tylko” mądrości – mądrości rozróżniania.

Różny bywa stan pogody, nie tylko atmosferycznej. Zmienna i kapryśna potrafi być również pogoda ducha. Co robić, by ją zachować gdy jest ciężko; kiedy pojawiają się trudności, zdaje się nie do przezwyciężenia? Warunek podstawowy: przyjęcie do wiadomości, że nie jestem idealny. Samo stwierdzenie tego faktu może nie wystarczyć bez dodania, że wcale nie muszę wszystkiego robić idealnie. Więcej: to, że czegoś nie potrafię, bo przekracza to moje siły, umiejętności – to właśnie jest naturalne i żadnej ujemy mi nie przynosi. Niby banał, niby to wiemy, a jakże często w ferworze życiowych zmagani zapominamy o tym. Czy ta świadomość nie jest najważniejsza przy wychodzeniu, czy to ze zwykłej chandry, czy z głębszego dołka? Bo – na ile pomagają życiowe rady typu: „wszystko będzie dobrze”, „głowa do góry”, „jutro będzie lepiej”? A jak skuteczne mogą być życiowe zalecenia w rodzaju: słoneczko świeci, ptaszki śpiewają, wszystko kwitnie wkoło – więc ciesz się życiem –?

Ważne w celu poprawy naszej pogody ducha będzie określenie przyczyn złego (choćby tylko subiektywnie) stanu rzeczy. Bo może jest tak, że przyczyna znajduje się poza obszarem naszego wpływu. A wtedy pozostaje pogodzić się z tym, czego zmienić nie możemy. Istotna jest umiejętność widzenia świata, umiejętność dostrzegania różnych kolorów w tym, co nas spotyka. Czy jest możliwe, żeby zawsze było dobrze? Czy da się połączyć pogodę ducha ze swoistą beczelnością i roszczeniowością, która mówi, że wszystko ma być tak, jak chcę? Pogoda ducha jest akceptacją istnienia rzeczy przykrych, bolesnych. Jest zgo-

dą na to, że są sprawy, które się nie udają. Jest zgodą na to, co jest. Zgodą na to, co nie zależy ode mnie. Co mogę uzyskać, gdy obrażam się na świat, na innych? Gdy walczę z wiatrakami?

Swoje miejsce w pogodzie ducha ma także skromność i pokora. Ale – czy są to przymioty dobrze widziane we współczesnym świecie? Wielu ludziom pokora kojarzy się z biernością, unikaniem odpowiedzialności, z uległością, czy z konformizmem. Wyobrażamy sobie, że człowiek pokorny to taki, który boi się myśleć samodzielnie i nie ma własnego zdania. Taki, który stara się wszelkimi siłami dopasować do otoczenia, dostosować się do oczekiwań innych. W potocznym rozumieniu pokora jest mylona także z nieśmiałością czy z brakiem kompetencji. Bywa, że chowamy się za maską „pseudopokory” wtedy, gdy nie jesteśmy pewni swej wiedzy, umiejętności, czy choćby komunikatywności. Mamy wówczas łatwą wymówkę, gotowe uzasadnienie dla własnej tchórzliwości. Jest sposobność do przyjęcia postawy obojętności i bierności. Jeśli wytłumaczę sobie obłudnie, że pokorą (a to cnota przeciwieństw) jest nie narzucać się, być w cieniu, milczeć i nic nie robić – to wtedy już nie muszę się trudzić, by uczynić coś dobrego dla innych, a chociaż dla siebie. Czy taka – konformistyczna, bojaźliwa – postawa ma coś wspólnego z prawdziwą pokorą?

Czym jest pokora? Kłopot z jej rozumieniem wynika pewnie z dwojakiego znaczenia tego słowa. Jest pokora jako „świadomość własnej niedoskonałości”, ale jest także „uniżona postawa wobec kogoś”. To drugie jest chyba powszechniejsze w społecznej świadomości i ma raczej pejoratywny wydźwięk, blisko mu bowiem do „poniżenia” czy też związanemu z nim „upokorzenia”.

A jeżeli potraktujemy pokorę jako stan ducha, to okaże się, że mówimy o postawie wyrażającej nasze przekonanie o otaczającym świecie. Jestem pokorny, więc uznaję moje ludzkie ograniczenia ciała i umysłu. Wiem, że wszyscy ludzie podlegają tym samym prawom. Nie mam zatem powodu, by się wywyższać ponad innych. Ale – czy to znaczy, że mam się uniażać? Nie, to nie jest



to samo... Prawdziwą pokorę śmiało można utożsamiać z szacunkiem do życia, do sił, które nim rządzą. Ale też – w pokorze jest świadomość roli człowieka w świecie i jego odpowiedzialności. Zatem – mamy zadania do wykonania. Pokorny człowiek wie, że w tym czego się podejmuje ma być kompetentny. Ktoś napisał, że człowiek pokorny to ten, który jest odważny i konsekwentny. Stwierdzenie dość zaskakujące. A jednak –?

Świadomość, że możemy być mądrzy, chociaż nigdy nie będziemy wszechwiedzący – to jest pokora. To też przeświadczenie, że każdy posiada jakieś zdolności i talenty, którymi może się z innymi dzielić. To pewność, że mamy do za-

grania jakąś ważną rolę w życiu. A jaką rolę? Cóż, w tym właśnie cały problem... w tym, aby rozeznaczyć... poznać siebie. Od czego zacząć? Zaakceptować życie z jego ograniczeniami i nie uciekać przed tym, na co nie ma się wpływu. I dalej: gdy pójdziemy w kierunku pokory, to do pogody ducha dojdziemy.

Co i kto ma wpływ na moją pogodę ducha? Tak naprawdę – tylko ja.

Napisałem. Tak, jak potrafię. Czy ktoś to przeczyta? A jeśli po przeczytaniu stwierdzi, że tylko stracił czas? I z tym też mam się pogodzić.

#### PRZYPISY

<sup>1</sup> Reinhold Niebuhr. *Modlitwa o pogodę ducha*



Fot. Nanatu



# KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

## DANUTA DZIUBA

*Pedagog, terapeuta systemowy rodzin, terapeuta uzależnień, terapii skoncentrowanej na rozwiązaniach, właścicielka Akademii Nauki w Śremie. Pracuje z dziećmi, młodzieżą i osobami dorosłymi. Fascynatka przyrody i tego wszystkiego, co pozwala odkryć i rozwinąć potencjał każdego człowieka.*

### 1 Kim jestem...

„Wodą, ogniem, burzą, perłą na dnie [...]”, trochę prześmiewczo cytując Jacka Cygana, ale najbardziej wodą taką spokojną i cichą, z mocą zmieniania.

### 2 Co jest najważniejszym osiągnięciem mojego życia...

Bycie przyzwoitą.

### 3 W czym jestem dobra...

W otwieraniu się na to co jest.

### 4 Co jeszcze chcę osiągnąć...

Poprzestać na mniejszym, ale cieszyć się bardziej!

### 5 Co chcę w sobie zmienić...

Oczekiwanie, nastawione na jutro, a marnujące dzień dzisiejszy.

### 6 Co daje mi szczęście...

Wieczór z soboty na niedzielę bez konieczności śledzenia zegara.

### 7 Najważniejszy dzień w moim życiu...

Kiedy uświadomiłam sobie, że „pustynię” upiększa to, że gdzieś w sobie kryje studnię.

### 8 Uprzejmość najbardziej cenię...

Kiedy cieszą się z mojego szczęścia, czy jakiegóż sukcesu, bo to wcale nie takie oczywiste.

### 9 Bohaterstwo to dla mnie...

Umiejętność przyznania się do błędu, niewiedzy. Świadome wybieranie i obcowanie z ludźmi mądrzejszymi od siebie.

### 10 Epoka, w której chciałabym żyć...

W TEJ jest mi najlepiej.

### 11 Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Sztuczność w myśleniu i czuciu.

### 12 Najcenniejsza rzecz jaką posiadam...

Dystans do świata, ludzi, radość i umiejętność cieszenia się z rzeczy małych.



**13 Moja największa wada...**

Za mało „ognia” tzn. stanowczości, gniewu... co jest pomocne przy stawianiu granic, podejmowaniu decyzji.

**14 Główna cecha charakteru...**

W życiu trzeba się ratować poczuciem humoru.

**15 Moje motto życiowe...**

Było ich wiele, nawet bardzo wiele, dlatego nie mogłabym zrobić sobie tatuażu z cytatem na całe życie. Na dzisiaj: „Idź... licz powoli kroki”.

**16 Ulubiony dźwięk...**

Szum rzeki i wodospadu, kołyszące się morze i trzepot ptasich skrzydeł.

**17 Dźwięk, który mnie denerwuje...**

Piła spaliniowa.

**18 Nie mogłabym żyć bez...**

Zieleni tej dosłownej, dot. roślin, przyrody i tej metaforycznej związanej z nadzieją, pogodą ducha, czułością i łagodnością.

**19 Co wzbudza we mnie lęk...**

Przeczytane zdanie na okładce jednej z książek znanego pisarza: „Życie składa się ze złudzenia wieczności i z przerażającej utraty tego złudzenia”. Też ludzie, którzy tak bardzo potrzebują miłości, że ze swojego braku robią krzywdę innym.

**20 Moje ukryte marzenie...**

Pobyć w dżungli amazońskiej z jej kolorami, cieniem, zapachami, zagrożeniami, pięknem, potęgą, bioróżnorodnością, temperaturą.

**21 Dar natury, który chciałabym posiadać...**

To moc „czterolistnej koniczyny”, aby przynosić ludziom szczęście.

**22 Zawsze śmiesz mnie...**

Śmiech innych ludzi (szybko się zarażam) i zebrania metodyczne w Akademii z moim zespołem, gdzie potrafimy „obśmiać” każdy problem szukając rozwiązań.

**23 Słowo, którego nadużywam...**

PRZESTRZEŃ!!!

Lubię przestrzeń...

Czy masz przestrzeń...

Jeśli będziesz miał przestrzeń...

Potrzebujesz przestrzeni...

Co to dla ciebie znaczy przestrzeń...

Czy zadbałeś o przestrzeń... itd.

**24 Zdanie o mnie, które zapamiętałam...**

Mam taką kredową ścianę, na której pojawiają się różne zdania, myśli, cytaty. Kiedyś mój znajomy oznajmił, że gdybym miała włamanie do mieszkania i potencjalny złodziej przeczytałby co na niej jest napisane, zrezygnowałby z kradzieży. Bardzo mnie to ubawiło, i zostało zapamiętane. A tam oprócz Kartezjusza, Szymborskiej jest takie pytanie: „Kim jesteś w chwili szczęcia?”

**25 Myśl, która pojawia się gdy nie jest najlepiej...**

I to minie... poczekaj.

**26 Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...**

Sobie nie wybaczyłabym nie wybaczyć, bo wówczas krzywda jaką mi wyrządzono byłaby wciąż obecna w moim życiu.

**27 Wolność to dla mnie...**

Swoboda w myśleniu; otwartość na „bioróżnorodność”, inność, nieznanie! Ale też móc pójść z psem do lasu, kiedy mogę sobie być w tym moim tajemniczym miejscu, nabierając tam siły, energii, odporności.

**28 Kim chciałabym być, gdybym nie była tym kim jestem...**

Pisarką, poetką, malarką mieszkającą w różnych miejscach na świecie.

**29 Obecny stan mojego umysłu...**

Chcę być tam gdzie już jestem!!!

**30 Kim chcę zostać w pamięci innych...**

Piaskiem w klepsydrze? Raczej nie! Kimś kto daje, dawał PRZESTRZEŃ innym do bycia sobą!



Marta TOK

# Tajemnica angielskiego domu

## Opowiadanie w pięciu częściach

### CZĘŚĆ 4 – SPOTKANIE

– Jeśli nie ty, to kto?!

Pytanie zawisło w powietrzu. Chwilę stały w milczeniu, po czym Alicja opowiedziała Agacie, jak wróciła wcześniej do domu – wejściowe zastała otwarte, kuchnię zalaną wodą, a psa nie było...

– W dodatku główny zawór był zamknięty. Myślałam, że to ty.

– No ja nie, chyba, że w innym wymiarze – zażartowała Agata. – Może tym razem to ta Helen? Albo sąsiad jakiś?

– Nie wiem. Ale mam zamiar to wyjaśnić – stwierdziła stanowczo Alicja. – Swoją drogą, jestem bardzo wdzięczna tej osobie... Wyobrażasz sobie tę katastrofę?! – kontynuowała wzburzona. – Cały parter zalany? I te piękne drewniane podłogi?!

– No i pies – wtrąciła Agata.

– Właśnie, Bobik. Ktoś może mu życie uratował, bo ta sierota nie umie nawet wleźć po schodach.

– Nie dramatyzujmy – zaśmiała się Agata.

– Ale właściwie? Jakby tak dłużej się lało? Może i ten twój samarytanin psu życie uratował.

– Pewnie to jednak samarytanka. – Alicja chwyciła za smycz i lekko pociągnęła. – Choć piesku, pójdziemy do Helen podziękować jej za pomoc. Wracam, bo zaraz pogotowie hydrauliczne ma przyjechać.

– Ok, bye,bye. Do zobaczenia któregoś z tych dni – pomachała Agata.

– A właśnie – zawróciła Alicja. Koleżanka do mnie przyjeżdża. Pewnie w weekend wpadniemy do was na kolację.

– To fajnie. No to do widzenia.

Alicja zajrzała na swoją ulicę. Jednak hydraulicy jeszcze się nie pojawili.

Zmierzchało już, ale było ciepło. Wiosenny wieczór. Alicja postanowiła się przejść z Bobikiem, a po drodze zajść wreszcie do Helen. Kiedy pukała kołatką w drzwi, z sąsiedniego domu wyjrzał starszy pan.

– Helen isn't home, she went to visit her family. For a couple of days.

– Oh really? When did she leave? – zainteresowała się Alicja.

– This afternoon, I think.

– Thanks so much – podziękowała uprzejmie.

A zatem dziś po południu Helen wyjechała do rodziców na północ. Nadchodził długi weekend, pewnie nie będzie jej przez kilka dni. Podziękowania muszą poczekać – pomyślała Alicja. Nie miała ochoty dzwonić, prawie dziewczyny nie znała. Po jej powrocie przyniesie jej czekoladki albo coś. Zajrzała ponownie na swoją ulicę, wypatrując hydraulików. Nikogo. Bobik dreptał posłusznie obok niej. Zawróciła więc w stronę parku na końcu ulicy. Było tu pusto, tylko na nieodległej ławce majaczyła się jakaś sylwetka. Kto by tu siedział o tej porze – zdziwiła się robiąc kilka kroków w tamtym kierunku. A potem nagle się zatrzymała. Bobik skorzystał, by podlać krzaczek. Alicja uważnie przyjrzała się człowiekowi na ławce. Leżał tam ten facet, z którym zderzyła się dziś na ulicy. Chudy rudzielec w zamszowej kurtce. Bezdomny czy co – szepnęła do siebie. Stojące wzdłuż ścieżki krzywo przycięte cisy rzucały mroczny cień. Niebo na zachodzie przechodziło już w kolor



granatowy. Zrobiło się dość ponuro i Alicja stwierdziła, że lepiej będzie, jak zawróci. Tym bardziej, że Bobik, węsząc, ciągnął ją w kierunku wyjścia z parku. Nie oglądając się za siebie pomaszerowali do domu. W samą porę, furgonetka pogotowia hydraulicznego właśnie podjeżdżała pod drzwi.

Parę dni wcześniej, po pracy, Alicja wybrała się do Tate Britain zobaczyć wystawę poświęconą Rothko i Turnerowi. Zestawienie tych dwóch artystów ją intrygowało. Co ma wspólnego współczesny malarz z osiemnastowiecznym konserwatywnym Turnerem? Podobno Rothko przyznawał się do wielkiej inspiracji Turnerem, tak przynajmniej głosiła ulotka z wystawy. Jeśli tak mówi... Na wstępie przywitały ją ogromne obrazy Amerykanina. Brązowo-buraczane nieregularne pasy zrobione zamasyżście wałkiem malarzkim, poprzetykane od czasu do czasu żółcią i pomarańczem. Próbowwała znaleźć związek z tym malarstwem w zawieszonych obok płótnach Turnera, przesyconych światłem, wypełnionych łopotem żagli elegancko zarysowanych okrętów i była już na granicy odkrycia wspólnych cech marynistycznych pejzaży z abstrakcyjnymi wałkami Rothkiego, kiedy zadzwonił telefon. Dorota. Koleżanka z dawnego życia. Nawet przyjaciółka. Przez lata były ze sobą blisko, a potem ich drogi się rozeszły. Alicja jednak ciągle lubiła Dorotę, chociaż miała do niej żal, że tak się przeistoczyła z niezależnej młodej kobiety, którą poznała z trzydzieści lat temu, w złotą kurę przy bogatym mężu. No, ale teraz, po latach, wszystko popadło w niepamięć, a już szczególnie w ostatnich miesiącach, na tym an-

gielskim wygnaniu, gdzie samotność dawała Alicji popalić jak rzadko. Nieśmiało zaprosiła Dorotę do siebie, a ta, o dziwo, przyjęła zaproszenie. Może miała ochotę się przewietrzyć.

A teraz przyleciała. Z lotniska Dorota wzięła takśówkę. To nie był jakiś koniec świata, tylko godzina jazdy o tej porze i jakieś czterdzieści funtów. Stać ją było na to. Alicja czekając na koleżankę przygotowała lekką sałatę, zwaną rzymską, tutaj wyjątkowo pyszną i chrupiącą. W Tesco oznaczono ją oczywiście angielską flagą. Po brexicie naklejali takie nalepki dosłownie na wszystko, co nie było francuskim serem. Pewnie chcieli w ludziach podtrzymać przekonanie, że dobrze wybrali, odchodząc ze wspólnej Europy. Ale Brytyjczycy, szczególnie tu, w regionie londyńskim, wiedzieli swoje. Zwłaszcza, kiedy po powrocie z pracy, koło szóstej, znajdowali w swoim supermarkecie puste półki.

Dorota nic się nie zmieniła. Szczupła, wysoka, ubrana w stylu sportowym. Była trochę młodsza od Alicji. Jeszcze nie starsza pani, ale już nie dziewczyna. Mówiąc, cały czas się śmiała, trochę pewnie z nerwów, bardzo długo się nie widziały. Chociaż właściwie zawsze tak robiła... Może z obawy przed Alicji ciętym językiem. Ale teraz Alicja nie zamierzała być niemiła. Gdzieś tam miały wspólne doświadczenia i dobrze było o tym pogadać. Dorota wprawdzie nie była w separacji, ale żyła właściwie obok męża, nienawidząc go czasami z całego serca. Bo jednak był to „niekumaty burak”, przyznawała Alicja w duchu. Nigdy nie rozumiała, co taka fajna, inteligentna i przedsiębiorcza dziewczyna, robiła z tym głupkiem, ale nawet nie próbowała tego



powiedzieć na głos. Tylko Dorota rezerwowała sobie wyłączne prawo do nazywania męża w ten sposób. Dlaczego nie odeszła? Dziś młodzi wokół robią to bez wahania. Jakby mieli większą świadomość upływającego czasu i unikalności życia... Ach tam... – machnęła ręką Dorota... Byłoby to zbyt skomplikowane... A poza tym zdarzają się fajne chwile. Jak nie kłócimy się o to, co zwykle... Jego przemądrzałe wywody działają na mnie jak płachta na byka. – Może on po prostu tak zakłamuje rzeczywistość – wtrąciła Alicja, bo dobrze wie, że prochu nie wymyśli? – Może. W każdym razie jest wkurzający. Ale jak nie jest, to nawet fajnie się spędza z nim czas, lubimy gadać, mamy podobne zdanie na wiele spraw. Dorota zamyśliła się. – W sumie, gdyby syn był toczka w toczkę taki sam, jak jego ojciec, to pewnie problemu i awantur by nie było. Ale nie jest. Chwała Bogu, w sumie. Zaśmiały się. – Co u ciebie? – zapytała Dorota biorąc tyk ginu z tonikiem. – U mnie?... Jest jak jest. – odpowiedziała Alicja wymijająco. I żeby uniknąć pytań o swój związek, bo nie umiała jeszcze znaleźć odpowiedzi, co poszło nie tak, szybko zaczęła opowiadać Dorocie o jakby lekko „nawiedzonym” domu syna, a potem o Agacie, Bobiku i swojej pracy.

Spędzili razem miły weekend, spacerując i rozmawiając. Dorota się wyluzowała. Przestała tak bardzo uważać na to, co mówi. Alicji przyszło do głowy, że chyba w przeszłości nie była zbyt dobrą przyjaciółką, skoro tamta tak bardzo obawiała się, co ona o niej pomyśli. Na pewno rozstając się z mężem i wyjeżdżając, Alicja straciła nieco ze swojej zwykłej pewności siebie. Może teraz łatwiej było z nią rozmawiać? Tak czy owak dobrze się razem bawili.

W poniedziałek rano Dorota wyjechała. A że był to tzw. „bank holiday”, czyli dzień wolny od pracy, Alicja poszła z psem na długi spacer. Obserwowali łąbiedzie, cieszyli się wiosną i ładną pogodą. Bobik nieoczekiwanie porzucił swoją codzienną niemrawość i z werwą obszczekiwał pasące się nieopodal czerwone byczki. Niektóre gałęzie obsypane już były zielonymi pąkówkami i Alicja postanowiła zerwać kilka, by wstawić do wazonu. Dobrze, że jej syn tego nie widział,

straszny legalista był z niego. Alicja zaśmiała się w duchu, ale postanowiła być dyskretna i po powrocie wrócili oboje z Bobikiem dróżką za domem. Było to miejsce całkowicie opustoszałe. Na tę ścieżkę nie wychodziły żadne okna. Zapadał zmrok i mimo obecności psa, Alicja poczuła się nagle nieswojo. Otworzyła czym prędzej kuchenne drzwi i weszła do środka. Po tej trzydniowej paplaninie z koleżanką cisza w domu aż dźwięczała w uszach. Jednak obecność Doroty przegoniła jakby wszystkie strachy. Chociaż... W mieszkaniu unosił się jakiś dziwny zapach... Już wcześniej Alicji zdarzało się go poczuć... Jakby zapach świeżej ziemi? Czegoś gnijącego?... Alicja machnęła ręką. – E tam, nie będę się nad tym zastanawiać... Wstawiła gałęzie do wazonu i zdecydowała wziąć długą relaksującą kąpiel z najnowszą powieścią Alice Rooney. Zostawiła drzwi od łazienki otwarte, żeby nie parowało zbyt mocno, weszła do gorącej wody i pograżyła się w lekturze. Próbowala zrozumieć, dlaczego tę tuzinkową opowieść o młodych Brytyjczykach okrzyczano nową rewelacją literacką. Nagle usłyszała jakiś hałas... Zmroziło ją... Co to było, do diabła?!... Ktoś otworzył główne drzwi?! Niemożliwe! Jednak wyraźnie słyszała ciche kroki. Serce jej zamarło. Poczuła przyływ paniki. Nasłuchiwała. Dlaczego Bobik nie zaszczekał?! Zasnął po wyczerpującym spacerze? Kroki zatrzymały się. A potem zatrzeszczały schody. Intruz wspinał się na górę, do jej sypialni... Nie czekając dłużej, Alicja wyskoczyła najszybciej jak mogła z wanny, zawinęła się szlafrokiem, chwyciła telefon i na czubkach palców podeszła do drzwi łazienki. Stąd był tylko krok do wyjścia na ogród i ścieżkę z tyłu domu. Wstrzymując oddech przekreśliła klucz. Na bosaka wybiegła w chłodną noc, a potem przez kolejne podwórka na ulicę. W żadnym z domów nie paliło się światło. Było cicho i ciemno. Wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer do Agaty, modląc się w duchu, by ta odebrała. W restauracji mogli mieć o tej porze jeszcze sporo roboty. Kelnerka odezwała się dopiero po piątym razie. – Agato, pomocy... – wyszeptała Alicja. Tam ktoś jest. W moim domu, na piętrze...



Adam LEWANDOWSKI

## Barbara Orlowski – poetka i malarka

### Warto przypomnieć

W ostatnich latach miałem (i mam nadal) okazję poznawać wielu literackich tuzów, których twórczość robi ogromne wrażenie. Taką osobą jest zapewne Barbara Orlowski. Rzadko można spotkać się z tak wszechstronną twórczością, tak zróżnicowaną, ciepłą, emocjonalną, z wyrazami poetyckiego rozkwitu. Kim jest Barbara Orlowski? Urodziła się w pięknym mieście Toruniu. W 1988 roku wyemigrowała do Niemiec i od tego czasu mieszkała w Krefeld, a od 2008 roku mieszka również w Brazylii. Oprócz twórczości poetyckiej jest animatorką kultury, dziennikarką i o dziwo – malarką.

Wiersze drukowała w wielu antologiach w Niemczech, Polsce, Anglii, USA i Chinach. Jej wiersze tłumaczone były na język niemiecki, angielski, portugalski, chiński, rosyjski, czeski i macedoński. W 2012 roku wydała audiobook bootlegu zatytułowany *Wiersze Wybrane*. Opublikowała również kolejne książki – *Słowami po krawędziach* – Londyn 2013, *Gdzie jesteście dzisiaj* – Bydgoszcz 2015, *Metamorfoza* – Bydgoszcz 2015, *Ostatnie ślady na piasku* Bydgoszcz 2019, *Kiedy kwiaty całują niebo* – Bydgoszcz 2020. Jest również pomysłodawczynią i wydawcą antologii polsko-niemieckiej *Cienie i czas – Schatten und Zeit* – Krefeld 2022. Jest też założycielką Międzynarodowej Grupy Poetyckiej Mango (Niemcy, Brazylia), która istnieje już od 2013 roku oraz założycielką Międzynarodowego Koła Literackiego „Kwadrat”, które od 2012 roku realizuje wiele literackich zadań. Barbara jest pomysłodawczynią i organizatorką wieczorów poetycko-muzycznych „Cztery pory roku”, które odbywają się w Brukseli od 2019 roku.

Jest laureatką wielu polskich i zagranicznych nagród, takich jak Nagroda im. Marii Konopnickiej, Nagroda Ianicusa, Nagroda Feniksa,

Nagroda Jerzego Sulimy-Kamińskiego, Nagroda im. Bolesława Brusa – Warszawa, Statuetka Stanisława Moniuszki – Wilno. Jest członkiem Kapituły HOMER – Europejskiego Medalu Poezji i Sztuki (Bruksela), a także depozytariuszem Medalu. Jej wiersze publikowane są w gazetach, biuletynach, kwartalnikach w Anglii, Belgii, Holandii, Litwie, Polsce, Niemczech, Brazylii, Indiach, Czechach i Chinach. Na co dzień współpracuje z wieloma portalami internetowymi, między innymi z Biuletynem PNKV w Ho-



foto © Teresa Fiedler



landii. Zapraszana jest na międzynarodowe spotkania poetyckie w Niemczech, Polsce, Litwie, Anglii, Holandii, Belgii i Chinach. Maluje obrazy abstrakcyjne, a każdy obraz jest eksperymentem i wyzwaniem. Wystawiała swoje obrazy w Brazylii, Niemczech, Polsce i w Holandii. Jest członkiem organizacji: Polska Gmina „PIAST” w Essen – Niemcy, Stowarzyszenia

Polskich Autorów II Oddział w Warszawie, Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej Oddział w Poznaniu, Stowarzyszenia PNKV w Holandii, należy do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, Poezja Londyn, Międzynarodowej Grupy Poetyckiej Mango, oraz MKL „Kwadrat”.

### **Zapomniany poeta**

pozostawił na biurku nieład  
książki ułożone w stos  
porozrzucane kartki z wierszami  
i te białe jeszcze niezapisane  
ołówki i pióro  
krzesło na którym siedział

teraz stoi puste  
leży jeszcze odgnieciona  
od siedzenia poduszka  
i pled zarzucony od niechcenia  
na poręczu krzesła

kwiat na oknie powoli usycha  
obok anioł z odłamanym skrzydłem  
i zegar który czas odmierza  
teraz stoi pomnik w granicie  
a na płycie wyryte jego słowa

### **Szczęście smakuje malinami**

choć moje serce idzie twoim śladem  
a moje myśli biegną szybko za tobą  
to mój rozum każe czekać i być rozsądną  
czekać na szczęście o smaku malin

malinowe szczęście w moich marzeniach  
czy w słoneczny dzień czy w niepogodę  
kartki z kalendarza spadają jak jesienne liście  
a ja czekam na szczęście o smaku malin

malinowy zapach bajecznie roznosi się dookoła  
maliny w ogrodzie i sok malinowy na stole  
moje włosy rozwiane na wietrze w malinach  
i ty malinowy pan jak moje szczęście

- bo moje szczęście smakuje malinami



Leszek MAŃKOWSKI

# Towarzysze i obywatele

## Na oparach

Współcześnie dzielimy się na lepszy i gorszy sort, patriotów i mordy zdradzieckie, polskich i niepolskich Polaków. Bez dzielenia żyć nie umiemy – od zarania dziejów naszych. Już akt założycielski naszego państwa wygenerował podział na ochrzczonych i nieochrzczonych. Przez wieki zmieniały się nazwy, przymiotniki, a podziały – trwały...

Był czas, kiedy żyliśmy (my, terażniejsi seniorzy) bez paszportów i dolarów w państwie niepodległym acz niesuwerennym; posegregowani na robotników, chłopów i inteligencję pracującą (ciekawe – tylko inteligencji dodawano ten przymiotnik). Władza w Peerelu należała do ludu pracującego miast i wsi, poprzednika dzisiejszego suwerena. Ale, ponieważ całemu ludowi trudno by się ludem władało, to lud musiał obejść się smakiem i przekazać władzę Partii. Partii nie-by-le-jakiej. Dla wygody zrezygnowano z wybierania, pozostawiając tylko akty powszechnego głosowania, uroczyste akty zresztą. Zawsze w głosowaniu wygrywała ta Partia – niejako zmuszona do wygrywania. Partia zaprowadziła nam kolejne podziały. Do codziennego obiegu weszły niebagatelne znaczenia etykietki: towarzysze i obywatel. Obywatelami Peerelu byliśmy wszyscy, ale już towarzyszami – nie. Towarzysze bowiem byli esencją ustroju klasowej sprawiedliwości. Oni zasiadali, piastowali, kierowali... a przynajmniej przynależeli i mogli tamtych wymienionych popierać i umacniać. Obywatele zaś mieli spełniać obowiązki (obywatelskie), podporządkować się wskazaniom towarzyszy z kierownictwa partii, wytycznym płynącym z wysokości politbiura i partyjnych zjazdów (to były dzisiejsze konwencje). Czasami mówili też o nas „naród”. On ważny był, ten naród, bo to jemu Partia powierzała, darowała

jakby, swój – wypracowany zbiorowym towarzyszysy wysiłkiem – program. I mówiła, że jej program jest narodu programem. I robiła ona, ta Partia, co mogła, żebyśmy ją pokochali, wierzyli, ufali jej. I sporo obywateli wstępowało w partyjne szeregi z nadzieją awansu z szeregowych towarzyszy na wyższy szczebel, na zostanie choćby zastępcą członka (jeśli nie członkiem kompletnym) któregoś plenum, czy egzekutywy. Tacy sprawdzeni towarzysze dostawali dobrze zasłużone chleby. Nie było wtedy spółek z zarządami do obsadzenia, ale kierowniczych stanowisk nie brakowało. Ustrój zakładał, żeby dawać „każdemu według pracy”, więc praca była wyceńniana. Każdy obywatel miał w portfelu bony uprawniające do zakupu stosownych dla niego ilości cukru i mięsa, czy innego jadła. Towarzysze zaś mogli się załapać na talony na samochody czy inne dobra znacznie poprawiające warunki ich życia i znoju dla dobra pracującego ludu.

Mówili nam, że to był ustrój społecznej sprawiedliwości – jeszcze nie całkiem doskonały jednak. Bo na doskonalszy musieliśmy zasłużyć. Byliśmy więc cały czas w drodze do krainy komuszej szczęśliwości. Nielatwo się w słusznym kierunku podążało. Były „przejściowe, chwilowe” kłopoty. Pojawiały się błędy i wypaczenia w kierownictwie – grzeszyli niektórzy towarzysze. Oni też wtedy ulegali pokusom. Ano zgrzeszyli, ale: któż nie ma pokus? Jednostki więc mogły się mylić, Partia nie myliła się nigdy. Tylko ona, ta Partia, zawsze miała rację. Tylko ona wiedziała, że choć droga wyboista – to kierunek zawsze słuszny. A na tej drodze pojawiali się tacy, którzy wkładali kije w szprychy i syпали piasek w tryby. Różnie się nazywali. Najpierw były zaplute karły reakcji. Gdy ludowa władza



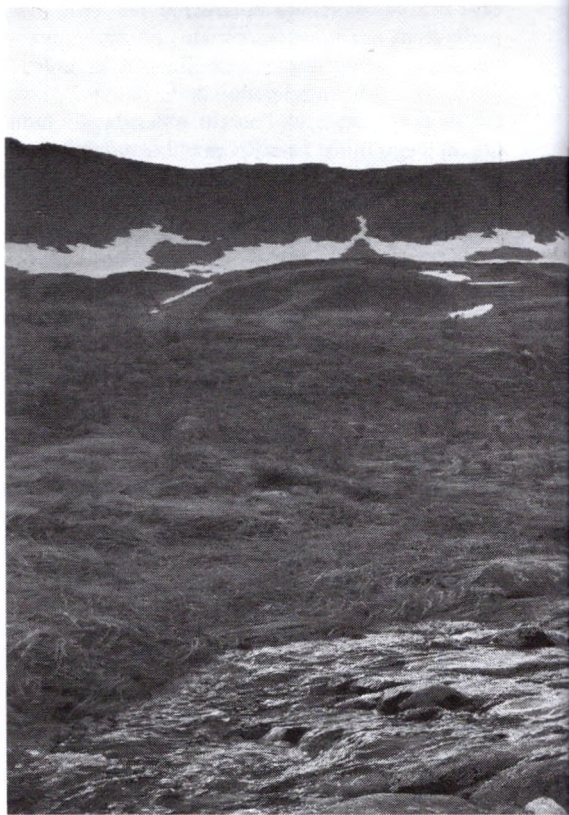
rozprawiła się z nimi, pojawili się bikiniarze, chuligani i różne warchoły, rewizjoniści, syjoniści, pogrobowcy starego ustroju i sługusi imperializmu; w końcu były to wprost siły antysocjalistyczne. Oni stanowili – mówiąc po dzisiejszemu – najgorszy sort. Ich warcholenia były „wodą na młyn” tamtych wrogich sił, tego zgniłego Zachodu. Oni, ówczesni „totalni” byli rzecz jasna nasyłani przez odwetowców z Bonn (odpowiednik Berlina), czy amerykańskich imperialistów. Oni próbowali obalać – nie dość, żeby rząd – nawet ustrój. Jednak „zdrowe jądro” ludu, robotniczej klasy (dzisiaj: narodu) potrafiło dawać odpór antysocjalistycznym elementom (czytaj: mordom zdradzieckim). I popierało ono, to jądro, ludową władzę, z towarzyszem Pierwszym na czele.

Porobili różnej rangi komitety partyjne. Robili narady aktywu, zjazdu i plena. Proletariacką czujnością i zaangażowaniem wykazywały się szerokie rzesze towarzyszy. Na szczycie piramidy władzy stał przywódca pełniący trochę myśląco brzmiącą funkcję sekretarza. Swojsko, familiarnie nazywali go Pierwszym. To on, Pierwszy, otwierał (tudzież zamykał) najważniejsze zgromadzenia. On łaskawie machał spracowaną ręką, wytrwale pozdrawiając tłumy maszerujących w pierwszomajowych pochodach – nie tylko towarzyszy, obywatele tam byli także. To do Pierwszego należało wygłaszanie najważniejszych przemówień podczas świąt i rocznic (nie wynaleziono jeszcze wtedy częstszych upamiętnień). A na zjazdach (nie na naradach) głosił przemowy, w których szczegółowo wymieniał sukcesy, nakreślał kierunki marszu ku kolejnym sukcesom oraz dawał zdecydowany odpór wrażym siłom.

Był już wtedy taki Pierwszy, co chętnie przemieszczał się po kraju, by pytać lud, jak się jemu żyje i dlaczego tak dobrze. Lud wierny (dzisiaj: elektorat), starannie wyselekcjonowany, przećwiczony w klaskaniu i radości, okazywaniu, mówił Pierwszemu: „tak dobrze, jak teraz to nam nigdy nie było”. I Pierwszy się cieszył, dziękował za popieranie i jechał dalej. I naładowany entuzjazmem ludu składał następną gospodarską wizytę, i doglądając żniw pytał „mocno sypie, towarzysze?”. Swoją chłop, ludzkie panisko on był. I tłumaczył towarzyszom, że gdyby nie on rządził, to sypałoby mniej, a już jakby rządzili jacyś inni (towarzysze nie używali słowa

„opozycja”) – no, to wtedy by nie sypało wcale. Do tego, tego Pierwszego, obowiązków należał trud otwierania i odsłaniania (acz bez kropideł), przecinanie wstęgi, wkopywanie pierwszej łopaty itp. I uświetnianie swoją Osobą wszelkich celebracji pokazujących: się buduje, się rośnie w siłę, się rozwija i umacnia się – a będzie jeszcze lepiej w następnej pięciolatce (dzisiaj: kadencji), bo nasza Partia wie, jak to zrobić. Bo Partia wie, że jest silna poparciem ludu (suwerena znaczy). Bo Partia będzie rządzić, bo władzy nie odda nigdy.

Zarządzali wszystkim, totalna omnipotencja, więc rozwalali nie tylko gospodarkę. Umieli, w razie problemów („kryzys” nie mieścił się w socjalistycznej ekonomii) wskazać przyczyny, czyli winnych – z reguły tych tam, hen zza lewego brzegu Odry. Nauczali bowiem: „Wilcza natura imperializmu niemieckiego nie zmieniła się od czasów Ulricha von Jungingena”. Mieli też swoje dobre rady dla nie zawsze zadowolonego ludu – w stylu tych, że trzeba mniej jeść, zbierać





chrust, dom czym prędzej ocieplić... Już ten popaździernikowy Pierwszy głosił: „Co wy się burzycie, przecież w końcu robotnik szynki nie je, tak że was to nie dotyczy”. I podawał sposób na wyjście z kłopotów: „Naród ma pracować, a nie leżeć na piasku”. Dbał też o morale młodych, bo jak zauważył „Za przykładem niektórych ekstremistów znad Sekwany zaczęto i u nas lansować tzw. antypowieść i antyfilm, a co gorsza, zaczęto głosić filozofię beznadziejności i rozpacz, zagubienia i samotności człowieka, filozofię bezsensu życia, zaczęto przenosić bezkrytycznie na nasz grunt poglądy z innego świata, ze świata kapitalizmu skazanego przez historię na zagładę”. Te światłe myśli przełożył na prosty język następny Pierwszy, który w robociarskim stylu mówił: „Nasza młodzież uczy się i pracuje. Raz w tygodniu chciałaby kulturalnie wypocząć, nabrać sił do dalszej nauki i pracy. Nie interesują nas wynaturzone mody, nie chcemy rozwydrzenia i rozpasania”. Towarzysze nie mieli wtedy takich mediów jak dziś, ale też – „ich” młodzież

nie miała tych osławionych teraz „sfarfonów”. Ale oni byli w miarę sprawni przynajmniej w jednym: w rozsiewaniu propagandy sukcesu. Oni też drukowali jedynie słuszne podręczniki, bogate w bzdury zmieszane z głupotami. Też wciskali do młodych głów swoją wersję historii. Tamta Partia też miała swoje mity i swoich bohaterów – dbała więc, byśmy nasiąkali ich mitologią od najmłodszych lat. Także nauczała, co jest dobre, a co nie. Też degradowała obywateli, którzy ośmielali się głośno wyrażać inne zdanie. Też jej, tamtej Partii, się nie udało. Choć... u niektórych (chyba zbyt wielu) z nas, ówczesnej młodzieży, to pozostało – ta łatwość lykania taniej propagandy lejącej się szerokimi strumieniami z telewizyjnego ekranu... Kiedyś w grudniowy niedzielny poranek... Pierwszy, ten w mundurze, wypowiedział nam wojnę. Powiedział m.in.: „Uczciwość wymaga, aby postawić pytanie: Czy musiało do tego dojść?”

Pytanie aktualne.



Fot. Nanatu



Tomasz ŻAK

# Jak komiksy zawładnęły kinem

## LeŻAKowanie czyli o filmach z pozycji kanapy

Kiedyś kojarzone były jedynie z dzieciakami i nie miały zbytniego poważania jako popkulturowe medium. Dziś ich adaptacje biją kolejne kasowe rekordy, a miliony ludzi czekają na kolejne przygody superbohaterów. Jestem jednym z nich. Komiksy towarzyszyły mi odkąd pamiętam. Z nieistniejącego już, jeziorańskiego oddziału śremskiej biblioteki, nałogowo wypożyczałem zeszyty *Kajka i Kokosza*, *Tytusa*, *Romka i A'omka*. Co tydzień pędziłem do kiosku po *Kaczora Donalda*, a raz w miesiącu – po *Giganta*. Kiosk znajdował się niecałe sto metrów od mieszkania moich rodziców i pracowała w nim moja ciocia – nie dość, że wyprawa była krótka, to w dodatku zawsze zwieńczona sukcesem. Pomimo tego, moje kilkuletnie serce biło szybciej, kiedy szedłem po chodniku (oczywiście omijając łączenia płyt), czując się niczym Indiana Jones zmierzający po świętego Graala. Każdy komiks czytałem po kilkanaście razy, te ulubione pewnie i po kilkadziesiąt.

Wydawnictwa TM-Semic poznałem stosunkowo późno, bo bodajże w drugiej, może trzeciej klasie szkoły podstawowej. Zacząłem z grubej rury, bo trafiłem na zbiorcze wydanie *Punishera War Zone* i, jeśli mnie pamięć nie myli, było to moje pierwsze spotkanie z komiksowym uniwersum Marvela. To, obok DC, jedno z największych wydawnictw komiksowych na świecie, dom takich bohaterów jak Spider-Man, Kapitan Ameryka, czy wspomniany wcześniej Punisher. Szukałem tych zeszytów we wszystkich śremskich kioskach, czasami trafiały się w księgarni, większość już zagubionej kolekcji zdobyłem w Poznaniu. Miałem obsesję na punkcie superbohaterów i nigdy w życiu nie spodziewałbym się, że ona po dekadzie wróci.



Superbohaterowie bardzo szybko trafili na ekrany kin – zdarzały się świetne adaptacje, takie jak *Batman* Tima Burtona, ale i koszmaki pokroju *Fantastycznej Czwórki*. W 2007 roku szefostwo nad filmowym oddziałem Marvela objął Kevin Feige, producent, który zaczynał od asystowania przy pierwszej adaptacji serii X-Men, już w 2000 roku zbierając doświadczenie przy udanym *Spider-Manie* Sama Raimiego, ale i przy tragicznej *Elektrze*. Kiedy stanął przy sterze Marvel Studios, uknął ambitny, ale i ryzykowny



plan – chciał stworzyć kinowe uniwersum na wzór tego znanego z komiksów. Bo musicie wiedzieć, że bycie fanem amerykańskich superbohaterów to ciężka i mozolna praca. Nie możecie śledzić tylko jednego tytułu, musicie znać je wszystkie, żeby zrozumieć całą, często bardzo ambitną i stworzoną z rozmachem, fabułę. Dla przykładu – żeby w pełni zrozumieć wydarzenia komiksowego *Civil War* napisanego przez Marka Millara, nie wystarczyło przeczytać siedmiu zeszytów tej serii, a dodatkowo niektóre numery *Wolverine*, *Amazing Spider-Man*, *Iron Man*, *Cable & Deadpool*, czy *Captain America*. Tego właśnie chciał Feige – tyle, że na kinowym ekranie.

Marvel Cinematic Universe powstało w 2008 roku, kiedy Robert Downey Jr., próbujący wrócić do łask Hollywood, przywdział zbroję Iron Mana, tworząc jednocześnie jedną z najbardziej ikonicznych filmowych kreacji. Już wtedy Feige zaczął zostawiać wskazówki do czego dąży jego wizja. Kolejnym superbohaterem ze stajni Marvela, który pojawił się na srebrnym ekranie był Hulk, następnie Thor, a zaraz po nim – Kapitan Ameryka. W 2012 roku wszyscy spotkali się w jednym filmie – *Avengers*. Ta grupa superbohaterów debiutująca na kartach komiksu już w 1963 roku rozbiła bank – filmowa adaptacja zarobiła na całym świecie ponad 1,5 miliarda dolarów przy budżecie 220 milionów. Już wtedy Feige wiedział, że każdy kolejny film, a z biegiem czasu także serial, musi być częścią większej całości – zupełnie jak komiksowe pierwowzory.

Kolejne filmy zbierane były w Fazy, a Fazy w Sagi. Pierwsza, Saga Nieskończoności, została podsumowana filmem *Avengers: Endgame* (technicznie ostatnim filmem tej Fazy był *Spider-Man: Far From Home*). *Endgame* było zwieńczeniem 11 lat i ponad 20 filmów, projektem który połączył wszystkie poprzednie obrazy i zrobił to w sposób mistrzowski. Nie wstydzę się przyznać, że płakałem, kiedy Robert Downey Jr po raz ostatni powiedział „I am Iron Man”. Opinia publiczna myślała, że po tym formuła się wyczerpie, ale wizja Feige’a nie bierze jeńców. W kolejnej fazie do filmów dołączyły serie, które jakością ani trochę nie odstają od kinowych przygód bohaterów Marvela, co więcej – robią rzeczy bardziej eksperymentalne i odważniejsze. *WandaVision*, pierwszy serial wchodzą-

cy w skład MCU, to cudowny pastisz amerykańskich sitcomów, który nagle skręca w dużo mroczniejsze tony, aby swój finał mieć dopiero w drugim *Doktorze Strange’u*. Brzmi skomplikowanie?

Kiedy Disney+, platforma streamingowa Myszk Miki, weszła do Polski znalazły się tam wszystkie filmy i serie MCU posegregowane tak, aby widz nie zgubił się w gąszczu produkcji Feige’a. Ich magia potrafi oczarować nawet osoby, które nie czują, ba! nawet nie lubią tego rodzaju filmów. Przetestowałem to na mojej narzeczonej. Co z tego, że Edzia na Strażników Galaktyki mówi Magiczne Zwierzęta, zapomina kim jest Cliff Burton i jak naprawdę nazywa się Hulk. Co z tego, że niektóre z filmów kompletnie jej nie podeszły (drugi *Thor* jest naprawdę nie najlepszym filmem). Pokochała ten świat, może nie tak bardzo jak ja, ale teraz sama czeka na kolejne produkcje, a plan wydawniczy MCU jest naprawdę imponujący.

MCU ma tylu fanów, ile przeciwników. Legendarny reżyser Martin Scorsese stwierdził, że to nie jest kino. Denis Villeneuve nazywa filmy MCU powtarzalnymi i tworzonymi z mechanizmem „kopiuj-wklej”. Oba panów uwielbiam i szanuję, ale z tych komentarzy płynie mnóstwo ignorancji. Owszem, te filmy opierają się na bardzo podobnym schemacie. Owszem, większość to CGI nakręcone na green screenie, ale co z tego? Nie udają czegoś, czym nie są. To przyjazne rodzinom kino akcji, którego głównym celem jest eskapizm i dobra zabawa. Celowo na samym początku tego felietonu napisałem, że wyjście po nowe komiksy, było niczym wyprawa po świętego Graala. To samo czuję teraz, jadąc do kina albo czekając aż nowości pojawią się na Disney+. Teraz częściej wybieram streamingi ze względu na malucha w domu.

Oglądanie taśmowego Marvela łączę z ambitniejszymi filmami i hej – jakoś przez tyle lat przeżyłem, nikt nie odebrał mi legitymacji prawdziwego kinomana. Jeśli więc szukacie czegoś, co porwie was na długie godziny i sprawi, że zapomnicie o bożym świecie – nie bądźcie filmowymi snobami i dajcie szansę Marvelowi. To dokładnie tak samo, jak z literaturą – to, że nie oglądacie jedynie ambitnego, autorskiego kina nie czyni was idiotami.



Jolanta ANDRZEJEWSKA

# Fania, córka rzeźnika. Izraelski western (spaghetti)

## Z górnej półki

Pozwólcie, Drodzy Powieściozercy, że zanim przejdę do książki *Córka rzeźnika* izraelskiego pisarza Yaniva Iczkovitsa, podzielę się z wami moim świętym oburzeniem: ta powieść to stek bzdur i wymysłów, jakiego już dawno nie czytałam. A jednak... A jednak postanowiłam opowiedzieć właśnie o niej, gdyż posiada niewiarygodny wręcz klimat. Jest jak film Tarantino skrzyżowany z włoskim westernem z dużą domieszką Singera.

Rzecz dzieje się pod koniec dziewiętnastego wieku na dalekim wschodzie Europy, w okolicach Mitoli i Mińska, w miejscu zamieszkałym wtedy w dwóch trzecich przez chasydów i innych żydowskich ortodoksów. Fania Kajzman jest córką rytualnego rzeźnika, który prowadzi ubój zwierząt w koszerne sposoby. Od najmłodszych lat, odrzucona przez matkę, niedomagającą i wiecznie zatroskaną, Fania zbliża się do ojca, a po jej śmierci, postanawia być jak on – koszerным rezakiem. Po początkowym wahaniu, sprawdziwszy u rabina, że przeciwskażać właściwie nie ma, ojciec się zgadza i uczy Fanię rzemiosła.

To jest pierwsze z szaleństw autora. No bo jak to?! W tradycyjnej, ortodoksyjnej chasydzkiej społeczności, hen na zagubionych krańcach dziewiętnastowiecznej Europy, pojawia się ni stąd ni zowąd dziewczyna, której ogromny upór może równać się tylko jej poczuciu niezależności, i zaczyna kształcić się w zawodzie, nie bójmy się tego słowa, mordercy?! No nie wiem...

Pewnego jednak razu, po okresie mrocznej sławy, która ojcu rzeźnikowi przyniosła biznesową popularność, Fania postanawia wyjść za mąż i w dodatku... przestać jeść mięso. Rozesłani zostają swaci, aż w końcu dziewczynie przedstawiają kogoś, kogo właśnie chciała – to Natan B, niezbyt ortodoksyjny pasterz owiec i wytwórca se-

rów, sam łagodny jak baranek. Fania rodzi pięcioro dzieci, dla których, pomna swojego smutnego dzieciństwa, jest kochającą mamą. Wiedzie spokojne życie na wsi, wśród gospodarzy gojów, głównie Polaków, mając z nimi dobre sąsiedzkie relacje. Ale nigdy nie rozstaje się ze swoim rzeźnickim nożem do uboju kurczaków, na wszelki wypadek przytroczonym do uda, jakby wierzyła, że jeszcze kiedyś się może przydać. I rzeczywiście.

Jej przykładowa starsza siostra Minda, która niczego w życiu nie pragnęła bardziej niż tego, by żyć w spokoju w rodzinie chasydzkiej, przestrzegając bogobojnie zasad i zwyczajów, zostaje opuszczona przez męża. Staje się „aguną”, czyli kobietą porzuconą na pastwę losu, bez żadnych praw ani możliwości ponownego ułożenia sobie życia, chyba, że ktoś odnajdzie jej męża – uciekiniera i zmusi go do podpisania listu rozwodowego. Tu dochodzimy do kolejnego szalonego pomysłu autora: nieustraszona Fania Kajzman, żydowska matka, nie mogąc patrzeć na cierpienie siostry, postanawia wyprawić się w szeroki świat i znaleźć wiarołomnego. Pewnego dnia opuszcza w tajemnicy dom, łagodnego pasterza i piątkę małych dzieci. Z nożem u boku i z Joszką Berkowiczem, miejscowym wyrzutkiem, byłym żołnierzem, wyrusza w świat pełen przygód. Przebrani za wieśniaków, Fania z Joszką, nie zdają sobie sprawy, że jadąc samotnym wozem zaprzęgniętym w dwa konie, mogą stać się łakomym kąskiem dla bandytów grasujących po wschodnich rubieżach. I faktycznie, pojawia się czworo takich, którym się wydaje, że trafili na łatwy zarobek. Nie wiedzą, biedni, jak bardzo zdeterminowana jest Fania, i jak dobrze umie władać nożem do rytualnego uboju kurczaków! Rach-ciach i jest po wszystkim, oczywiście nie bez pomocy wielkiego jak dąb Joszki. Trup ścię-



le się gęsto, a po chwili Fania z towarzyszem odjeżdżają bezpiecznie w dalszą drogę. Zanim kolejne mrozące i mało wiarygodne przygody staną się jej udziałem, odkrywamy tajemnicę Joszki Berkowicza. Otóż, w wieku kilkunastu lat, na rozkaz cara Mikołaja I, który zarządził brankę młodych żydowskich chłopców, Joszka zostaje wcielony do wojska. Po powrocie z wieloletniej służby, żyje na marginesie społeczności, odrzucony przez nią, jako Żyd nie Żyd, „nieczysty”, skażony pobylem w wielkim świecie. Jest miejscowym Charonem, przewoźnikiem po rzece, milczącym samotnikiem, którego ze stuporu wyrywa dopiero dzielna Fania. Przez dwieście kolejnych stron poznawać będziemy straszne losy Joszki, dziecka wrzucanego w odmętę rosyjskiej armii. Od przymusowej pracy w wojskowych łatrynach, których sugestywny opis napawa czytelnika bezmiernym obrzydzeniem, poprzez lazaret, gdzie – deus ex machina – łaskawy wybawca uczy chłopaka nie tylko pisać i czytać, ale jeszcze mówić w czterech językach (!), aż do chwalebного końca w roli adiutanta pewnego okrutnego pułkownika. Tutaj Joszka okazuje się na tyle biegły w piśmie i na tyle sprytny, by epistolarną manipulacją uratować wielokrotnie życie setkom prostych żołnierzy, stając się dla nich żywą legendą, nieomal świętym.

Ale wróćmy do wątku głównego: w pogoń za uciekinierami podejrzanymi o zbrodnię rusza Piotr Nowak, rosyjski oficer tajnych służb, weteran armii. Inteligentny i sprawny, pomimo braku jednej nogi, utraconej na wojnie, Piotr Nowak z apetytem rzuca się w wir śledztwa. Jednak on jeszcze nie wie, co go czeka w zwariowanym świecie Yaniva Iczkovitsa! Pomińmy liczne niekonsekwencje w zachowaniu błyskotliwego policjanta, by zachować jedną: wcielając się dla dobra śledztwa w rolę wędrownego Żyda, Piotr Nowak, zapiekły rosyjski tajniak, oddany całą duszą carowi i ojczyźnie, doznaje iluminacji tańcząc i śpiewając z chasydami, którzy go przygarbnią. Jednym słowem – prawdziwy miszmasz.

Cała ta historia podłana jest mocno czarnym humorem i przyprawiona groteską, a autor nie przejmuje się w ogóle łańcuchem przyczyn i skutków, czy historyczną prawdą. Nie. Zasypuje nieszczęsnego czytelnika mnóstwem drobniaczko opisanych historii ludzkich, przygniata detalami epoki, mieszając do woli obyczajowość końca dziewiętnastego wieku z nam współczesną, aż w końcu czytelnik, przytłoczony, ma ochotę rzucić tę książkę w kąt i z krzykiem

schronić się w sypialni... Ale jednak nie, wraca... Wraca, gdyż chce zaspokoić ciekawość, znaleźć odpowiedź, co to wszystko znaczy? Do czego doprowadzi? Jak się skończy (jeśli skończy się wreszcie)?...

*Córka rzeźnika* Yaniva Iczkovitsa to zarazem powieść łotrzykowska, jak i powieść drogi. Z pewnością nosi cechy klasycznego „kryminału”. Momentami bywa ciekawym freskiem społeczności żydowskiej końca dziewiętnastego wieku. Jest tym wszystkim jednocześnie i jeszcze więcej. Od przybytku może rozboleć głowa...

Czy zatem ta zadziwiająca książka jest źle napisana lub nudna? No, nie, do takiego kategorycznego stwierdzenia bym się nie posunęła, ale... Sądząc po gramatycznej gafie, jaką na stronie 148 przepuścili korektorzy Wydawnictwa Poznańskiego, z dwóch rzeczy jedna: albo tak wciągnęła ich przygodowa narracja, albo zasnęli (tutaj jest miejsce na emotikon z przymrużonym okiem).

Yaniv Iczkovits

*Córka rzeźnika*

Wydawnictwo Poznańskie 2021





Bartosz KLIMCZUK

# Brazylijska zima nas zaskoczyła...

## Część 1

Jak już nie raz na łamach „Gazety Śremskiej” wspominałem, przez wybuch pandemii koronawirusa w 2020 roku, byliśmy zmuszeni przerwać naszą podróż po Ameryce Południowej. Przez ten cały czas marzyliśmy jednak o tym, aby wrócić jeszcze na ten kontynent. Kraje latynoamerykańskie dosyć wolno znosiły obostrzenia, więc planowanie wyjazdu aż do początku roku 2022 było praktycznie niemożliwe. Gdy tylko jednak usłyszeliśmy o powolnym otwieraniu się na turystów tej części świata, od razu zabraliśmy się do przygotowań. Początkowo chcieliśmy wrócić tam, skąd musieliśmy w takim pośpiechu uciekać, czyli do Peru. To miała być ostatnia tego typu długa wyprawa (około dwumiesięczna), więc za główny cel obraliśmy sobie wykorzystanie tego czasu maksymalnie. Niestety, w momencie planowania wyjazdu pod znakiem zapytania pozostawała swobodna możliwość opuszczenia Peru drogą lądową i dostanie się na przykład do Boliwii. Po namyśle stwierdziliśmy, że nie chcemy tak bardzo ryzykować, a z kolei spędzenie aż dwóch miesięcy w Peru, które już przecież w jakimś stopniu poznaliśmy, to była dla nas jednak lekka przesada. Żeby ograniczyć sobie możliwe problemy na granicy, ostatecznie postanowiliśmy zakupić bilety lotnicze do Brazylii. Dopiero potem miało okazać się, że mniej więcej dwa miesiące to zdecydowanie za mało, aby poznać ten kraj w pełni. Na miejscu spotkałiśmy turystę z Meksyku, który w Brazylii spędzał już szósty miesiąc, a nadal nie zobaczył nawet połowy tego, co sobie zaplanował. Ogrom tego kraju w praktyce okazał się dla nas tak przytłaczający, że między miastami przemieszczaliśmy się w znacznej większości samolotami. Gdybyśmy chcieli wybrać chociażby autobus, to jedna podróż trwałaby 50 godzin i więcej...

Brazylia, w której koronawirus zebrał wyjątkowo śmiertelne żniwo, w momencie naszego przylotu była jeszcze państwem z pewnymi obostrzeniami. W miejscach publicznych nadal obowiązywał nakaz noszenia maseczki, jednak większość podchodziła do tego zarządzenia bardzo swobodnie, a służby nie wyciągały wobec niestosujących się praktycznie żadnych konsekwencji. Do wyjątków należały lotniska, urzędy i komunikacja miejska, gdzie ludzie wzajemnie zwracali sobie uwagę, aby twarz jednak zakrywać. W efekcie wyglądało to tak, że każdy stosował się do reżimu sanitarnego według własnego uznania – seniorzy potrafili chodzić po ulicy w maseczce i rękawiczkach, dezynfekując co rusz dłonie, młodzi zaś, bez maseczki wchodzili wszędzie i nie korzystali z poustawianych przy wejściach do budynków dystrybutorów żelu antybakteryjnego. W rozmowach z Brazylijczykami, pandemia koronawirusa już praktycznie nie istniała. Widać było, że chcą mieć ten wyjątkowo tragiczny czas już daleko za sobą.

Zwiedzanie Brazylii rozpoczęliśmy od São Paulo, które jest nie tylko największym miastem tego kraju, ale także największym na całej półkuli południowej. Wyglądem przypomina typową wielką metropolię Stanów Zjednoczonych, z drapaczami chmur i charakterystycznymi ulicami. Gdzieniedzie tylko, pomiędzy jednym wieżowcem a drugim, widać budynki będące z całą pewnością kolonialną spuścizną po Portugalczakach. W aglomeracji São Paulo żyje ponad 20 milionów ludzi, co było zresztą widoczne na pierwszy rzut oka. Większość turystów nie poświęca mu dużo czasu, od razu kierując się na północ – w stronę Rio de Janeiro. My jednak postanowiliśmy zostać tam kilka dni. W tym mieście jak w soczewce można zobaczyć z jakimi problemami zmagają się amerykańskie (nie tylko





São Paulo jest największą aglomeracją miejską na półkuli południowej

latynoskie!) metropolie – olbrzymie rzesze bezdomnych, którzy są widoczni na niemalże każdej ulicy i w każdym parku, brak jakiegokolwiek przywiązania do zachowywania czystości na ulicach (wszędobylskie śmieci, ludzie bez oporów czy skrępowania oddający moc wprost na chodnik), czy paniczny strach zagranicznego turysty przed złodziejami, którzy ponoć bardzo często wyrywają komórki, portfele czy torby wprost z dłoni. Nas szczęśliwie nic złego nie spotkało, ale ledwie wyciągnęliśmy swoje telefony, aby w GPS sprawdzić w jaką ulicę teraz skręcić, to zaraz ktoś podbiegał i łamaną angielszczyzną kazał nam je natychmiast schować. Będąc w obcym kraju wychodzimy z założenia, że miejscowi zawsze wiedzą najlepiej, także na ulicy korzystaliśmy z komórek tylko w absolutnej konieczności, lub baczenie pilnując jeden drugiego.

Skoro zacząłem już wspominać o pewnych negatywnych kwestiach (a pozytywów jest dużo więcej!) koniecznie muszę wspomnieć o tym, jak bardzo nas brazylijska zima zaskoczyła. Gdy w Polsce, czyli na półkuli północnej, ro-

dacy walczyli z upałami, na półkuli południowej rozpoczynała się właśnie znacznie chłodniejsza pora roku. W São Paulo i Rio de Janeiro za dnia było dosyć pochmurnie, a temperatura dochodziła w ciągu dnia maksymalnie do 25 stopni. Czytelnik może w tym momencie zadawać sobie pytanie: „O co temu Klimczukowi chodzi? Gdzie tutaj coś negatywnego?”. Owszem, do godziny 18.00 pogoda była wręcz idealna. Problem jednak zaczynał się wtedy, gdy zachodziło słońce. Większość noclegów z niższej i średniej półki jest przystosowana do przyjmowania turystów raczej podczas brazylijskiej wiosny czy lata – praktycznie każdy pokój wyposażony jest w klimatyzację czy chociażby wentylator. Na nic jednak te urządzenia się zdają, gdy w nocy temperatura potrafi spaść do około 9 stopni Celsjusza. Pech chciał, że w naszym pierwszym noclegu były bardzo nieszczelne okna, więc chłodny wiatr niemiłosiernie wdierał się nam do pokoju. Obsługa hotelu, która praktycznie w ogóle nie mówiła po angielsku (my po portugalsku nie mówiliśmy niestety także), nic sobie





Kolorowe dywany z piasku i trocin, przygotowywane na uroczystość Bożego Ciała

z tego praktycznie nie robiła i dopiero po kilku naszych interwencjach, czyli błagalnych prośbach wpisywanych w Google Translate, łaskawie dostarczyła nam dwa koce. To niestety nie wystarczyło i nie dość, że spaliśmy w swetrach, to jeszcze następnego dnia zdecydowaliśmy się na zakup małej farelki. Dopiero z takim zestawem można było przespać spokojnie całą noc.

W São Paulo jak się zdaje wszystko musi być największe. Nie tylko liczba mieszkańców, nie tylko rozmiar aglomeracji. Miasto słynie także z tego, że jego ulicami przechodzi największa w Ameryce Łacińskiej parada równości. Organizowana jest ona w drugiej połowie czerwca i gdybyśmy zostali w mieście dosłownie dwa dni dłużej, to mielibyśmy okazję na własne oczy zobaczyć to zjawisko. Niestety, ruszać trzeba było dalej, my zaś załapaliśmy się na brazylijskie obchody Corpus Christi, czyli Bożego Ciała. Wyglądają one bardzo podobnie do tych polskich – na początku jest odprawiana uroczysta msza

święta, a po niej ulicami miasta przechodzi procesja. Najbardziej charakterystyczną różnicą, jest typowa dla Brazylii tradycja przygotowywania przez wiernych różnokolorowych dywanów, wykonanych z trocin, piasku, kredy i farby w proszku. Przejście po właśnie takich dywanach rozpoczyna każdą procesję Bożego Ciała. Poszczególne kościoły katolickie w danym mieście rywalizują o to, które przygotowują najdłuższe i najbardziej kolorowe dywany. Ogromną frajdę sprawiło nam odwiedzenie wieczorem pobliskich świątyn i dokonanie oceny, które dywany naszym zdaniem są najładniejsze. Biorąc udział w brazylijskich obchodach Bożego Ciała zwróciliśmy także uwagę, że jak na tak ogromną aglomerację, w procesji organizowanej przez najważniejszy kościół w mieście, wzięło udział stosunkowo niewiele osób. Jestem w stanie pokusić się o stwierdzenie, że w Śremie widziałem w to święto większe tłumy, niż wtedy w Brazylii.



Urszula ŁUKOMSKA

## Autoportrety mistrzów pędzla, kredki, ołówka. Część 5

---

„W dzisiejszych czasach, w których nie ma wymogu linearności, artysta może sięgać po różne konwencje i zmieniać się z dnia na dzień” – zdanie to napisał Andrzej Maciej Łubowski w tekście katalogu swojej ostatniej wystawy z kwietnia 2022 r. w biurze wystaw artystycznych w Pile. Wiązało się to z przedstawieniem trzech różnych cykli malarskich w jednej prze-

strzeni galerii, ale moim zdaniem to istotna koncepcja współczesnego podejścia do twórczości artystycznej. Tu od razu muszę zaznaczyć, że od lat jestem zaprzyjaźniona z artystą, którego uważam za jednego z najciekawszych współczesnych malarzy polskich i co za tym idzie, pisanie o nim jest tym trudniejsze. Znamy się od podstawówki, byliśmy w jednej klasie i ostatnio przy-



Andrzej Maciej Łubowski *Presja IV*





Fragment wystawy Andrzeja Macieja Łubowskiego w Wałbrzyskiej Galerii Sztuki

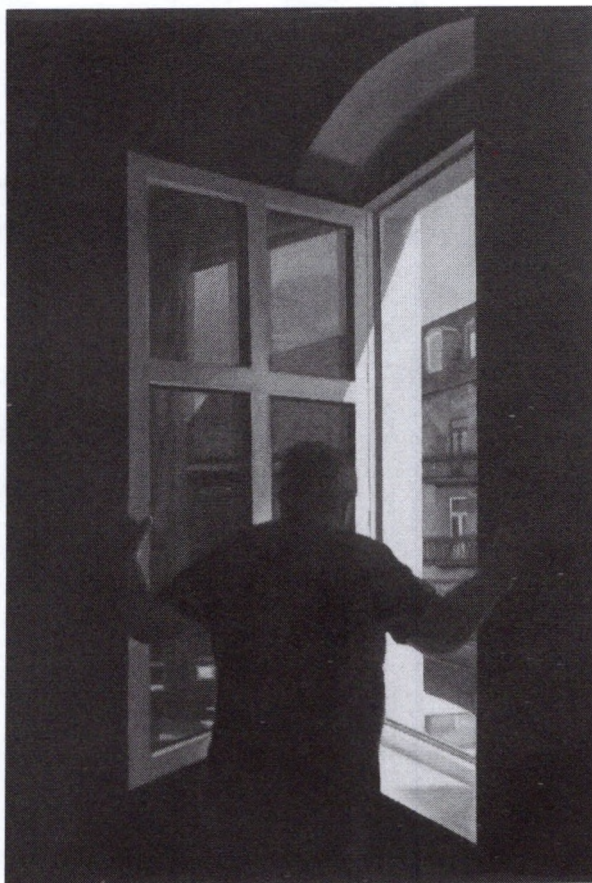
pomniałam Maciejowi (dla rodziny i przyjaciół posługiwał się drugim imieniem) jak rywalizowaliśmy w narysowaniu kolejnego króla wg. pocztu Matejki, w zeszyście do historii w szóstej klasie. Na początek opowieści o jego autoportretach, krótka notka z tekstu ostatniego katalogu: „Urodził się w 1946 r. w Poznaniu. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie ukończył dyplomem z Malarstwa w 1971 r. w pracowni prof. Stefana Gierowskiego. Po ukończeniu studiów wrócił do Poznania. W 2010 r. uzyskał tytuł profesora sztuk plastycznych, jest działaczem Związku Polskich Artystów Plastyków, profesorem na Wydziale Architektury Politechniki Poznańskiej, animatorem życia artystycznego i kuratorem licznych wystaw. Zorganizował około 50 wystaw indywidualnych swojej twórczości z zakresu malarstwa, brał także udział w wielu wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Jego prace znajdują się w muzeach oraz innych zbiorach państwowych i prywatnych, w tym w Kolekcji Sztuki XX i XXI w. w Muzeum Sztuki w Łodzi, jest odznaczony brązowym i srebrnym Medalem: Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Gdybym chciała wymienić tylko część wystaw, w których brał udział i nazwy galerii, które posiadają autorskie prace w zbiorach, musiałabym znacznie powiększyć tekst, zatem wymienię tylko niektóre kraje, w których wystawiał: Austria, Japonia, Kanada, Kuba, Niemcy, Norwegia, Węgry, Wielka Brytania, Włochy itd. Do życiorysu powinnam dodać, że jego cała rodzina jest „artystyczna”... W dawnych czasach często odwiedzałam dom rodzinny Łubowskich, zachwycałam się obrazami rodziców Jadwigi i Edmunda. Jakiś czas pracowałam w Poznańskim Liceum Plastycznym z Maciejem i jego bratem Pawłem, uczyłam syna Macieja – Rafała, obecnie profesora UAP... zatem nasza znajomość jest długa i sympatyczna. Wracając do obrazów chciałabym napisać o trzech cyklach, w których malarz opiera się na wizerunku swojej postaci i twarzy. Krótco po studiach, czyli w latach siedemdziesiątych powstało kilka obrazów hiperrealistycznych, jak mówi autor „krypto-autoportretów na tle poburzonej ziemi w pejzażach wielkomiejskich wykopów”. To obrazy pokazujące autora na tle najbardziej zwykłych kadrów otoczenia, błotnistego kawałka drogi, piachu, betonowych



fragmentów z jakiejś budowy, słowem rzeczywistości tak banalnej, że aż trudno uwierzyć, że mogła zafrapować artystę... Z tej serii najbardziej lubię *Ścianę* (1978), obraz z niedopowiedzeniem, trochę inny od pozostałych mających cechy jakby reportażowego zdjęcia. Większą część obrazu zajmuje tytułowa ściana z szarego betonu, rewelacyjnie namalowana, aż chce się dotknąć, trochę jak fragment pustostanu z otworem, który jeszcze nie jest oknem, ale już można zobaczyć fragment nieba zajmującego też przestrzeń poza krawędzią i mający półprofil artysty... Nie wiadomo, czy przechodzi obok i co myśli, bo dłonią sięga do głowy... można sobie interpretować obraz, „dośpiwywanie” mnie cieszy. Kolory są wyciszone, szarość betonu i szare niebo z białymi chmurami nie kontrastują, wywołują nastrój powagi i zamyślenia. Stąd już krótka droga do obrazów bardziej symbolicznych z lat 80., gdzie pojawiają się zgiętych postaci w fragmentach, a także portrety i autoportrety w cyklach *Twarz w twarz* i *Spotkania*. Na mnie jednak największe wrażenie wywarły *Złamane obrazy* i *Presje* z końca lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady XXI w. Nie będę tu dociekać jakie osobiste przeżycia wpłynęły na zupełnie inne postrzeganie przez malarza iluzyjnej przestrzeni w obrazie i czy to chęć stworzenia własnego wizerunku malarza i rzeźbiarza doprowadziły do powstania ogromnych, łamanych, trochę „harmonijkowych” powierzchni, z autoportretem w czerwieniach i oranżach. *Presje* mają wielkie wymiary – *Presja II* z 2008 r. aż 200 x 320 cm, trudno je więc pokazać z innymi obrazami na wystawach, bo aż „krzyczą” formą i kolorem. Na własny rachunek nazywałam je „minami”, ale to spłylenie tematu, bo obrazy te niosą ogromny przekaz emocji, zawsze mam „gęsią skórę” oglądając... W ostatnim z cykli autoportretów *Okna*, artysta wraca do klasycznego wręcz przekazu, tworząc nastrojowe obrazy z sylwetą postaci w ciemnym wnętrzu na pierwszym planie i rozświetlonym pejzażem na dalszym. Zobaczyłam je „w komplecie” na wystawie w krakowskiej galerii Pryzmat w 2020 r. To specyficzne wyciszenie, syl-

wetki bliskich, wśród których rozpoznać można żonę Romę, syna i wnuka, a także autora, sugerując kolejną zmianę i chęć przekazania prostych, ludzkich wartości, a także afirmację życia. Ja lubię *Okno VI* z 2018 r. (120 x 100 cm, olej na płótnie). To scenka z sylwetką artysty otwierającego okno, przez które widać fragment kamienicy w tle, a znaczna jej część odbija się w szybie połączony właśnie odchylonej... Podobny nastrój ma *Okno IV* z 2016 r., gdzie za oknem rysuje się perspektywa uliczki dobrze autorowi znanej. Widziałam też kilka nowych obrazów, ale nie są to autoportrety, to kolejny cykl, ciekawy ale jak to się mówi „z innej bajki”. Andrzej Maciej Łubowski to artysta, który ciągle szuka kolejnego artystycznego wcielenia, a ja uwielbiam się temu przyglądać. Zatem do następnej wystawy!



Andrzej Maciej Łubowski *Okno VI*



Marek KOPEĆ

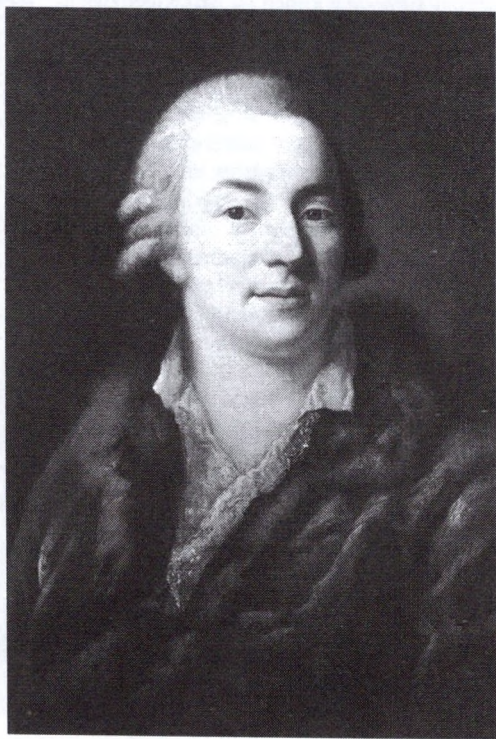
# Casanova jakiego nie znamy

## Tam i z powrotem, czyli polsko-włoskie historie z winem w tle

Wenecjanin Giacomo Casanova powszechnie znany jest jako uwodziciel i kochanek wielu kobiet. Kiedy pada jego nazwisko, skojarzenia są automatyczne i monotematyczne. Jednakże pod nazwiskiem Casanova kryje się nie tylko genialny uwodziciel i wielki awanturnik. Mówić o nim tak tylko, to mówić nieco za mało. Był Casanova chorowitym synem aktorskiej pary Gaetana Casanovy i Zanetty Farusi. Do ósmego roku życia uchodził za umysłowo upośledzonego. Później nastąpiło cudowne uzdrowienie, którego miała dokonać pewna czarownica z Murano. „Nasz późniejszy kochaś” studiował na uniwersytecie w Padwie. Miał też krótką przygodę jako duchowny. Pełnił obowiązki sekretarza Acquavivy, ambasadora Hiszpanii. Był także chorążym weneckiej armii. Zarabiał na życie grą na skrzypcach, należał do wolnomularzy, założył też fabrykę jedwabiu... zaś w tle tychże zajęć Casanova oczywiście romansował, wdawał się w liczne awantury i wywoływał skandale.

To prawda, był wielkim miłośnikiem kobiet. Najbardziej jednak cenił kobiety inteligentne, literacko wykształcone. Ale największą jego pasją była literatura. Bardzo cenił Horacego, Dantego, Petrarę, Ariosta, którego po skończeniu szesnastu lat odczytywał trzy razy w roku. Wielokrotnie wspomina o szczęściu, jakie go spotykało kiedy tylko mógł przebywać wśród książek. Był też miłośnikiem dań makaronowych. Jednym z nich posłużył się, by uciec z więzienia. Warto też dodać, że ów makaron był daniem poprzedzającym słynne fettucine Alfredo (kto jadł, ten wie). Nie mając bowiem możliwości ucieczki z celi, do której go przeniesiono po wykryciu spisku, wpadł na pewien pomysł. Nawiązuje kontakt z mnichem, którego przeniesiono do

jego celi. Upewniwszy się, że może mu zaufać, wtajemnicza go w plan ucieczki. Prosi wtedy strażnika więziennego, by ten przekazał mnichowi makaron, który on dla niego przyrządził. W makaronie Giacomo chowa sztylet, makaron oprósza na przemian serem, i obficie polewa, rozpuszczonym masłem tak, aby danie sięgało po brzeg talerza. Czyni to umyślnie, aby strażnik, niosąc postawiony na biblii talerz z makaronem, skupił się na tym, by jej nie popłamić.



Giovanni Giacomo Casanova





Franciszek Ksawery Branicki

W ten sposób dostarcza mnichowi sztylet, którym ten dąży wyjść z więzienia Piombi. Casanova dużo podróżuje i poznaje sławnych ludzi, m.in. J.J. Rousseau, H. Voltera, W.A. Mozarta. Odwiedza wiele miast – Lyon, Wiedeń, Paryż, Stuttgart, Londyn, Petersburg, Madryt, Barcelonę. Bawi także w Polsce – w Puławach, we Wrocławiu, ale najpierw gości w Warszawie, gdzie przyjmuje go Stanisław August Poniatowski. Casanova pojedynkuje się z podstolim wielkim koronnym, Franciszkiem Ksawerym Branickim i rani go w brzuch. Poszło oczywiście o kobietę, o włoską tancerkę Teresę Casaci. Po tym incydencie król nakazuje mu opuścić Polskę. Podczas tych wszystkich zagranicznych imprez Casanova zarabiał pieniądze, gromadził majątek. Pytany bowiem o cel podróży poza granice Italii odpowiadał, że tam dopiero wyteżę swoje wszystkie umiejętności, siły i zdolności, aby spędzać potem czas na tym co robi najlepiej, czyli na nicnierobieniu. W Italii bowiem czuł się najlepiej. I w Italii trwonił majątek zdobyty w licznych interesach i oszustwach, oddając się

„dolce far niente”, czyli słodkiej bezczynności. Ostatnie swoje dni Casanova spędził jako bibliotekarz w zamku w Duchcov w Czechach. W tym też okresie dużo pisał, przełożył też na język włoski *Illiadę* Homera. Zostawił po sobie obraz człowieka, do którego od razu pałamy sympatią, którego lubimy od razu, ponieważ ucieleśnia wszystkie nasze ludzkie grzeszki, skryte ciągotki i pragnienia przygód, a które realizuje Casanova niewinnie i z wielką sztuką. Sztukę zaś z jaką Casanova spijał rozkosz życia można jedynie równać z rozkoszą towarzyszącą picciu wina Amarone della Valpolicella. Wino to bowiem jest robione w regionie Wenecji Eugenejskiej, a więc w ojczyźnie Casanovy. Powstało wprawdzie 140 lat po jego śmierci, ale jest jedną z tych rozkoszy życia, których tak bardzo zażywał Giacomo Casanova.



Etykieta wina Amarone Della Valpolicella z regionu Wenecji Eugenejskiej - ojczyzny Casanovy



Katarzyna GRZEGORCZYK

# TRUDNY START

## Okiem belfra...

Rozpoczęliśmy kolejny rok szkolny. W głowie mnóstwo myśli i pytań. Co przed nami? Jakie niespodzianki i wyzwania nas czekają? Czy po-  
dołamy rzeczywistości i pokonamy przeszkody? Czy starczy nam sił, by wykonywać swoją pracę najlepiej, jak potrafimy?

Za nami wyjątkowa rekrutacja do szkół średnich. Minione wakacje dla absolwentów klas ósmych i ich rodziców były bardzo trudne. W wyniku wielu decyzji podjętych w ostatnich latach, w czerwcu szkoły podstawowe opuściła rekordowa liczba młodych ludzi. Były to dzieci urodzone w 2007 roku oraz te, które przyszły na świat w pierwszej połowie 2008 roku. Półtora rocznika młodych ludzi, którzy stanęli przed bardzo ważnym wyborem. Musieli wybrać szkołę ponadpodstawową, która spełni ich oczekiwania i pozwoli zrealizować życiowe plany. Co roku jest to trudna chwila. Człowiek mający 14-15 lat musi podjąć decyzję, która będzie miała ogromny wpływ na jego dalsze życie. Młodzież szuka szkół, kierunków, zawodów, które dadzą im szansę na spełnienie marzeń.

W minionych latach rekrutacja była w miarę stabilnym i spokojnym procesem, w wyniku którego większość absolwentów podstawówek trafiała do wybranych przez siebie szkół. Bój toczył się o miejsca w najbardziej prestiżowych placówkach, najczęściej w wielkich miastach. W tym roku sytuacja była zupełnie inna. Próg punktowy pozwalający cieszyć się miejscem w wybranej szkole podniósł się niesamowicie. Miejsc w szkołach ponadpodstawowych przecież nie przybyło. Szkolne ściany nie są z gumy, a w murach techników wciąż uczy się jeszcze podwójny rocznik z ostatnimi absolwentami gimnazjów. To wszystko sprawiło, że w wielu polskich miastach po wywieszeniu pierwszych list uczniów zakwalifikowanych zapanowała chaos i panika. Połały się łzy bezsilności.

Uczniowie z dobrymi wynikami w nauce i z egzaminów ósmoklasisty pozostali poza systemem. W żadnej ze wskazanych przez nich szkół nie znalazło się dla nich miejsce. Rozpoczął się rozpaczliwy wyścig o możliwość nauki w jakiegokolwiek szkole, która w najmniejszym choćby stopniu spełni oczekiwania dziecka. Dni i tygodnie niepewności, złości i poczucia krzywdy. Wyniki, które rok wcześniej dałyby pewne miejsce w wymarzonej szkole, dziś nie otwierały żadnej furtki.

Organy prowadzące szkoły ponadpodstawowe zapewniały, że miejsc jest wystarczająca ilość i gdzieś dzieci znajdą placówkę, w której mogą kontynuować naukę. Często będzie to jednak kierunek bardzo odległy od marzeń dzieci. To oznacza, że w tym roku pracować będziemy z wieloma rozczarowanymi uczniami. Ktoś powie: trudno, w dorosłym życiu nie zawsze spełniają się marzenia. Jednak pamiętać należy, że pod tablicami z wynikami rekrutacji stały czternasto i piętnastoletnie dzieci. Mają prawo czuć żal. W przyszłym roku czeka nas taka sama sytuacja. A w kolejnym zupełnie inny problem – prawie pusty rocznik, bowiem dla niego zniesiono obowiązki rozpoczęcia nauki w wieku sześciu lat. Będzie im łatwiej? Nic podobnego. Mniej uczniów będzie oznaczało mniejszy wybór kierunków, bowiem żaden organ prowadzący nie sfinansuje klas kilkusobowych.

Stajemy zatem wobec wielu problemów. Niskie płace, mała motywacja do podejmowania kreatywnych działań, pełna pogardy wobec środowiska nauczycielskiego postawa rządzących i nieustanne problemy polskiej oświaty – niedofinansowanie, przeładowane podstawy programowe, brak pomocy psychologicznej dla uczniów. Trudna to rzeczywistość, z którą coraz mniej nauczycieli chce się mierzyć.



Ewa NOWAK

# Letnie spotkania ze sztuką w Muzeum Śremskim

Sezon wakacyjny w śremskim muzeum był bardzo intensywny. Oprócz serii koncertów w amfiteatrze i sali widowiskowej nasi goście mogli obejrzeć interesujące wystawy. Letnie spotkania ze sztuką rozpoczęliśmy 24 czerwca. Tego dnia odbyły się wernisaże dwóch wystaw. Pierwsza, to organizowana wspólnie z poznańskim ZAP, zbiorowa wystawa Świat *Dziecka. Blaski i cienie*, na której swoje prace – fotografie, obrazy, rzeźby zaprezentowało 22 artystów, posługujących się odmiennymi technikami i środkami wyrazu. Postać dziecka pojawiła się w pracach artystów w różnych kontekstach, dzieciństwo bowiem to nie zawsze tylko radość i zabawa. Wystawa trwała do 14 sierpnia.

Późnym wieczorem tego samego dnia odbył się w muzealnym ogrodzie wernisaż fotografii Szymona Domagały, który swoje zdjęcia robi „z góry”. *Świat z lotu ptaka* to ponad trzydzieści fotografii, które autor wykonał podczas lotów motoparalotnią w okolicach Śremsu. Te zachwycające zdjęcia rozlewisk Warty, snujących się nad łąkami mgieł, nostalgicznych poranków i magicznie wijących się dróg, oczarowały tych którzy późnym wieczorem zjawili się w ogrodzie. Autor lata przez cały rok, jeśli tylko są ku temu odpowiednie warunki. Nawet zima nie jest dla niego martwym sezonem. A jak niezwykle prezentują się na jego fotografiach zaśnieżone łąki i pola! To trzeba zobaczyć koniecznie! Fotografie w muzealnym ogrodzie można będzie oglądać przez cały rok.

W lipcu muzeum zaprosiło na wystawę *Kompozycja otwarta* Katarzyny Stuchockiej, na co dzień architekt, pracującej na stanowisku profesora Politechniki Poznańskiej w Instytucie Architektury Wnętrz i Wzornictwa Przemysłowego, w wolnym czasie malującej, fotografującej

i rzeźbiącej. Jasne, stonowane, tworzące spójną całość obrazy kontrastowały z serią „czerwonych”, przywołujących na myśl konstruktoryzm emocjonalnych obrazów, powstałych podczas pandemii. Zderzenie tych dwóch światów równoległych było poruszające.

W sierpniu można było obejrzeć dwie wystawy. W mniejszej galerii swoje fotografie zaprezentował Antoni Rut, a w „Akwarium”, wystawę *Dotyk materii* Aleksandra Zuba-Benn.

Antoni Rut to „klasyk fotografii krajobrazu, ujmującego malarstwa, czystej fotografii, wyrafinowanego warsztatu, specyficznego gatunku nacechowanego pełnią światła i wirującym powietrzem wypełniającym obraz nieba. W słuchując się w siebie, swoje wnętrza, swoją duszę i serce by lepiej, pełniej i głębiej oddać w swoich pracach piękno przyrody”. Jest jednym z ważniejszych inicjatorów i twórców zaplecza artystycznego ruchu fotograficznego w Polsce. Współpracował z wieloma galeriami i muzeami krajowymi i zagranicznymi.

Aleksandra Zuba-Benn – absolwentka poznańskiej PWSP, dyplom zrobiła w pracowni gobelinu prof. Magdaleny Abakanowicz. To wszechstronna artystka, która równie dobrze czuje się w różnych technikach malarskich, tkaniu artystycznej, papierze czerpanym czy ażurowych formach rzeźbiarskich wyplatanych z wikliny i papieru. *Dotyk materii* to wystawa prezentująca malarstwo i obiekty z papieru, których motywem przewodnim są materie wywiezione z natury, gdzie występując w wielorakich konfiguracjach wchodzą we wzajemne interakcje. Pięć wystaw. Pięć różnych spojrzeń na sztukę. Pięć różnych propozycji. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie.





# Wieści z ratusza

## INWESTYCJE

Wakacje to dla gminy Śrem czas intensywnych działań inwestycyjnych. Zakończono niektóre rozpoczęte inwestycje, trwają procedury przetargowe oraz realizacja kolejnych przedsięwzięć. Zakończyła się inwestycja rozbudowy Przedszkola Nr 7 im. Janka Wędrawniczka w Śremie. Celem inwestycji było zapewnienie miejsc w przedszkolach dzieciom z gminy Śrem oraz udostępnienie zajmowanych przez Przedszkole Nr 7 sal lekcyjnych w Szkole Podstawowej Nr 5. Przedszkole „Janka Wędrawniczka” powiększono o nowy budynek, w którym mieszczą się cztery sale wraz z łazienkami oraz gabinet dla logopedy. Łączny koszt inwestycji poniesiony przez gminę Śrem wyniósł 4 miliony złotych. W nowym obiekcie dzieci rozpoczną edukację od 1 września 2022.

Nowe boisko dla przedszkolaków powstało też przy Przedszkolu nr 3 „Jarzębinka” w Śremie. Realizacja projektu pn. Boisko Marzeń jest efektem pomysłu zgłoszonego w Budżecie Obywatelskim Śremu w 2021 roku. Pomysł został wybrany przez mieszkańców gminy Śrem w kategorii projektów miejskich. Przedmiot inwestycji obejmował budowę boiska sportowego, w tym: montaż 2 bramek do piłki nożnej, ogrodzenie boiska, montaż piłkochwyłów, wykonanie podbudowy i nawierzchni z trawy syntetycznej. Odbiór robót nastąpił 11 sierpnia br. Łączna wartość zadania zleconego przez gminę Śrem wyniosła 125 000 zł (wykonanie dokumentacji technicznej 3 100 zł oraz wykonanie robót 121 900 zł).

Gmina Śrem wykonała też drugą część skateparku w Parku Śremskich Odlewników. Na dodatkowych 260 m<sup>2</sup> zainstalowano dwa urządzenia: quarter pipe, minirampę H150 oraz dwie energo-



oszczędne lampy. Zadanie po rozstrzygnięciu zamówienia publicznego zrealizowała firma Usługi Ogólnobudowlane Adam Hołdorny za kwotę 295 200 zł.

W lipcu zakończyła się również budowa dwóch bieżni lekkoatletycznych przy szkołach: nr 6 w Śremie i w Bodzynie. Gmina Śrem zrealizowała te dwa projekty na podstawie pomysłów mieszkańców gminy zgłoszonych do Budżetu Obywatelskiego Śremu w 2021 roku. Dwutorowe bieżnie staną się miejscem treningów miłośników lekkoatletyki.

## ROZSZERZENIE ZAKRESU DZIAŁALNOŚCI SCHRONISKA W GAJU

13 lipca 2022 roku w Urzędzie Miejskim w Śremie odbyło się spotkanie członków porozumienia międzygminnego w sprawie powierzenia



gminie Śrem zadania związanego z prowadzeniem schroniska dla bezdomnych zwierząt i ochroną przed bezdomnymi zwierzętami, polegające na rozbudowie i eksploatacji międzygminnego schroniska dla bezdomnych zwierząt w Gaju. Do porozumienia przystąpiła gmina Jaraczewo.

### **BUDŻET OBYWATELSKI ŚREM**

Zakończył się etap weryfikacji projektów zgłoszonych w Budżecie Obywatelskim Śremu w czerwcu br.

Mieszkańcy gminy Śrem złożyli łącznie 15 projektów: 7 ogólnogminnych, 6 miejskich i 2 wiejskie. Zgodnie z uchwałą projekty poddano ocenie formalnej i merytorycznej. Dwa projekty nie spełniły kryteriów zapisanych w karcie oceny projektu.

Projekty zaakceptowane:

#### **Projekty ogólnogminne:**

Mini stadion lekkoatletyczny (Nochowo) aut. Agnieszka Golak  
Integracyjny plac zabaw (Park Miejski im. Wł. Puchalskiego) aut. Agnieszka Kuźniak  
Książkomat (przy Bibliotece Publicznej przy ul. Grunwaldzkiej) aut. Andrzej Mikołajek  
Sportowa Arena (Przedszkole Nr 2 „Słoneczna Gromada”) aut. Tobiasz Binkowski  
Wiata edukacyjno-integracyjna (teren schroniska w Gaju) aut. Magdalena Pękala  
Jezioro atrakcji (plaża bez barier, pomost pływający) aut. Patryk Kubski

#### **Projekty lokalne miejskie:**

„Wielki powrót ścianki tenisowej”. Wykonanie nawierzchni i naprawa ścianki oraz budowa boiska do siatkówki plażowej (teren SP6) aut. Tomasz Wojna

Zielony skwer Bankowców (ul. Przemysłowa/ Orzeszkowej) aut. Krzysztof Lewandowski  
Naukowy plac zabaw (Przedszkole z Oddziałami Integracyjnymi nr 5 „Mali Przyrodnicy”) aut. Paulina Szulczewska

Odlotowy Zakątek Radości (Przedszkola nr 3 „Jarzębinka”) aut. Anna Tomaszewska  
Strefa rekreacji w Parku Śremskich Odlewników aut. Patryk Kubski

#### **Projekty lokalne wiejskie:**

Plac sportowo-rekreacyjny w Błociszewie aut. Justyna Bąkowska  
Zielona Szkoła (teren Szkoły Podstawowej w Dąbrowie) aut. Marcin Szydłowski

#### **Projekty odrzucone:**

Zielony skwer na Jezioranach/ul. Staszica aut. Krzysztof Lewandowski  
Radosna polana – kreatywna przestrzeń do zabawy i wypoczynku (teren Przedszkola „Pod wierzbami”) aut. Anna Siejak  
Projekty nie spełniły kryteriów weryfikacji merytorycznej zawartych w uchwale nr 34/IV/2019 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 21 marca 2019 r. w sprawie przeprowadzenia konsultacji dotyczących budżetu obywatelskiego.





  
**MUZEUM**  
Ś R E M S K I E

63-100Śrem  
ul. A. Mickiewicza 89  
tel/fax: 61 283 59 38  
www.muzeum.srem.pl  
e-mail: muzeum@srem.pl

W okresie wakacyjnym Muzeum Śremskie zaproponowało trzy turnusy półkolonii dla dzieci. Dwa turnusy SZKOŁY CZARODZIEJÓW, na które zapraszaliśmy miłośników magii i Harrego Pottera oraz MAGIĘ TEATRU. Podczas 5-dniowych zajęć SZKOŁY CZARODZIEJÓW uczestnicy mieli okazję tworzyć czarodziejskie różdżki, czapki, miotły. Brali udział w magicznych eksperymentach, turnieju Quidditcha i w wielu innych grach i zabawach. Zwiedzili-

śmy także Muzeum Figur Woskowych w Poznaniu.

MAGIA TEATRU natomiast przyciągnęła w większości starsze dzieci, które pod okiem Małgorzaty Bulińskiej poznawały tajniki pracy aktora teatralnego. Uczestnicy ćwiczyli dykcję, mimikę, scenki własnego autorstwa, a swoją pracę przedstawili ostatniego dnia zajęć, podczas spektaklu dla rodzin, na scenie sali widowiskowej Muzeum Śremskiego.



Uczestnicy półkolonii Magia teatru, lipiec 2022 r., fot. K. Tomczak





Czarodzieje z turnusu lipcowego, fot. K. Tomczak



Czarodzieje z turnusu sierpniowego, fot. K. Tomczak



# KONCERT MUZYKI FILMOWEJ

PATRONAT HONOROWY BURMISTRZA ŚREMU ADAMA LEWANDOWSKIEGO

30.10.2022 | 17:00

SALA WIDOWISKOWA MUZEUM ŚREMSKIEGO



Z TOWARZYSZENIEM ZESPOŁU INSTRUMENTALNEGO ADAM WOJTASIK BAND



W PROGRAMIE UTWORY I MOTYWY MUZYCZNE  
Z POLSKICH I ŚWIATOWYCH FILMÓW I MUSICALI

BILETY W CENIE 85 zł DOSTĘPNE NA BILETY24.PL  
W ŚREMSKIM OŚRODKU KULTURY  
ORAZ KASIE KINOTEATRU SŁONKO

☎ 889 647 418

✉ BOK@SOK-SREM.PL

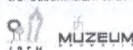
🌐 SOK-SREM.PL

WYDARZENIE WSPÓLFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW GMINY ŚREM

ORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATORZY:



PARTNERZY:







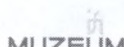
ANITA  
LIPNICKA  
O MIŁOŚCI  
AKUSTYCZNIE

24.09.2022 | 19:00

**Śrem** SALA WIDOWISKOWA MUZEUM ŚREMSKIEGO

[anitalipnicka.com](http://anitalipnicka.com)

Bilety dostępne w kasie Śremskiego Ośrodka Kultury oraz na stronie [bilety24.pl](http://bilety24.pl)







# Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego  
w Śremie

63-100Śrem  
ul. Grunwaldzka 10  
tel: 612835467, fax: 612837774  
www.biblioteka.srem.pl  
e-mail: info@biblioteka.srem.pl

## LITERACKIE PORANKI MALUCHA



Zapraszamy dzieci w wieku od 2 do 3 lat  
na zajęcia literacko-plastyczne

Zaczynamy 6 września 2022 roku o godz. 11:00

Zapisy do 31 sierpnia

Liczba miejsc ograniczona

informacja: wypożyczalnia dla dzieci



## CZYTNIK AUDIOBOOKÓW

- dla Czytelników, którzy chcieliby posłuchać audiobooków, a nie posiadają odpowiedniego urządzenia
- doskonały w podróży
- dla dzieci, młodzieży, dorosłych
- polecany seniorom
- łatwy w obsłudze

Informacje szczegółowe: 612835467 w. 205  
mediateka@biblioteka.srem.pl





PRACOWNIA  
ILUSTRACJI

Zapraszamy  
do edukacji plastycznej  
w Pracowni Ilustracji  
w nowym sezonie 2022/2023

Zajęcia w każdą sobotę począwszy od 1 października:

- dzieci w wieku 6-11 lat od 9:15 do 10:45  
  *od 10:45 do 11:00 przerwa*
- dzieci w wieku 12-16 lat od 11:00 do 12:30
- dorośli od 9:30 do 12:30

Miesięczny koszt warsztatów: dzieci 50 zł., dorośli 60 zł.  
/emeryci i renciści 35 zł./, materiały we własnym zakresie





Łąka nadwarciańska w Tworzykowie, gmina Brodnica, rys. Tomasz Mazurczak

**Gazeta Śremska**

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie  
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89  
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030  
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

**Wydawca:**

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89  
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń  
i reklam oraz zmiany programów i terminów  
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

**Redagują:**

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)  
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)  
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

**Na okładce:**

I – IV Fot. Piotr PIECZYKOLAN

**Skład:**

Wiktoria BUKOWY

**Druk:**

via drukomatic.pl



TV  
jest,  
było,  
tak  
się mówiło

## ul. Matuszewskiego 1

W narożnym budynku Matuszewskiego/Szewska mieścił się sklep Niedzielskiego. Potem znajdował się tu skład kolonialny pana Owczarczaka, a obok (ul. Przemysława 1, obecnie S. Matuszewskiego) miał duży sklep ze skórami wierzchnimi i podeszwowymi oraz przyborami obuwniczymi właściciel domu Bronisław Służewski.



Fot. z archiwum MŚ



Fot. Piotr Pieczykolan, 2022





ISSN 1232-7476  
9 771232 747209 09